Gr
39

PRZEŻYLIŚMY

GROSS*ROSEN

GROSS-ROSEN 1940·1945 ROGOŻNICA

KLUB b.WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

9
Inhaft
GRO-R
18
Bd.2:Heft 3

TOM II
Zeszyt 3

7/Gr/39

Wir überlebten. - - -

Tom II Filiale des KL Gr R
Heft 3 Kommando Reichenau

ITS
Internationaler Suchdienst
Bibliothek ~~9INHAFT GR-R23~~ Bd. 2, Heft 3

16. 12. 86

INTERNATIONALER
SUCHDIENST
3548 AROLSEN (Waldeck)

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II Filie obozu Gross-Rosen

Zeszyt 3 Komando Reichenau

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11 oo-480 Warszawa tel. 296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1984

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Dudowa, Feliks Kidawa,
Witold Kulisiewicz, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna,
Zdzisław Rałł, Andrzej Romanow, Feliks Sikora,
Henryk Uchman, Juliusz Zagórski, Kazimierz Zamojski

przy współpracy:

Michała Czebłakowa, Romana Konarzewskiego /Poznań/,
Jana Kosińskiego /Lublin/, Stanisławy Kożuchowskiej,
Henryka Króla /Jelenia Góra/, Stanisława Kuczewskiego,
Marii Malec-Więckowskiej, Janiny Padzik, Stanisława
Proga, Edwarda Roguskiego, Lucjana Stefańskiego,
Bogdana Wierzejewskiego, Piotra Wojciszewskiego

Projekt okładki: Włodzimierz Kern
Zdjęcia: Archiwum Klubu b. Więźniów Gross-Rosen
w Warszawi

SPIS TREŚCI

1. Od Redakcji .
2. Jan Kosiński - Wspomnienia z Reichenau
3. Henryk Uchman - Gdy byłem w Reichenau
4. Kazimierz Ptaszyński - Ostatnie dni na Pawiaku -
   Obóz Koncentracyjny
5. Henryk Król - Budowa tunelu do fabryki
6. Stefan Miernik - Byłem więźniem radomskiego gestapo
7. Franciszek Drozdż - Gross-Rosen i Reichenau
8. Zygmunt Dondziło - Pierwszy odkryłem że jesteśmy wolni
9. Stanisław Miętek - Ostatnie dni w obozie
10. - Częściowy wykaz więźniów
    Komanda Reichenau

OD REDAKCJI

Więźniowie Komanda Reichenau uzyskali wolność 8 maja 1945 roku w miejscowości Rychnov koło Jablonec n. Nysą. Zapamiętali oni na zawsze tragizm krótkiego marszu ewakuacyjnego grożącego im zagładą i szczęśliwe zawrócenie do obozu. Pamiętają pomoc jaką im okazała armia radziecka dowodzona przez marszałka Koniewa i powstańcy czescy przyspieszając im wolność. Mają równiez głęboką wdzięczność dla ludności i władzy młodej Republiki Czechosłowackiej za pomoc w pierwszych dniach wolności.

Grupa więźniów polskich zaraz po wyzwoleniu brała udział w likwidacji armii niemieckiej przy boku partyzantów czechosłowackich. Dotąd polscy więźniowie obozu Reichenau utrzymują stały kontakt z ludnością, władzami miasta Rychnov i ze Związkiem Bojowników Antyfaszystowskich w okręgu Jablonec n. Nysą, wspólnie dążąc do upamiętnienia miejsca ich martyrologii.

W 3 zeszycie II Tomu "Przeżyliśmy Gross-Rosen" zamieszczamy wspomnienia obozowe więźniów komanda Reichenau.

Wspomnienia Kolegi inż. Jana Kosińskiego dają zasadniczą charakterystykę tego komanda. Nie publikujemy obszernego materiału jego pracy w całości, pomijamy osobiste przeżycia i odczucia, gdyż opublikowane zostały w jego książce "Liczył się kazdy przeżyty dzień" wydanej w 1980 roku przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Wspomnienia pozostałych 7 kolegów zamieszczamy w całości, gdyż nie były nigdzie publikowane. W niektórych fragmentach różnią się opisy faktów i zdarzeń, ale są dowodem, że każdy

indywidualnie zapamiętuje i odczuwa inaczej jego zdaniem ważne wydarzenia.

Spis nazwisk więźniów Komanda Reichenau zaczerpnęliśmy z wykazu zebranego przez Kolegę Jana Kosińskiego uzupełniając danymi posiadanymi w archiwum środowiska byłych więźniów Gross-Rosen w Warszawie. Indeks ten wymaga uzupełnienia.

Spodziewamy się w przyszłości wydać zeszyt uzupełniający wspomnienia innych więźniów - o ile wpłyną do Redakcji, co będzie również okazją do uzupełnienia indeksu nazwisk więźniów.

Wszystkim autorom opublikowanych prac zespół redakcyjny wydawnictwa "Przeżyliśmy Gross-Rosen" wyraża serdeczne podziękowanie.

Zespół Redakcyjny

Jan Kosiński
P - 18862

WSPOMNIENIA Z REICHENAU

Byłem jednym wśród 200 więźniów, przywiezionych pierwszym transportem do obozu Reichenau. Na stacji Gross-Rosen ulokowano nas w czterech wagonach towarowych. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą i w jakim celu. Większość więźniów ubrana była w przewiewne pasiaki i trepy bez skarpet. Podróż przebiegała spokojnie.

Po wielogodzinnej podróży dotarliśmy do celu. Na dworcu ujrzeliśmy napis "Reichenau". Tu panowała jeszcze pełnia zimy. Śnieg leżał pół metrową warstwą. Więźniowie w przewiewnych pasiakach kulili się z zimna. Poganiani przez "postów" i wyznaczonych na funkcje więźniów gubili trepy i biegli boso. O odszukaniu zagubionych trepów w śniegu nie było mowy, gdyż bito każdego, kto się zatrzymał. Od dworca do obozu dzieliła przestrzeń około 150 metrów. Na terenie przeznaczonym pod obóz stały dwa drewniane baraki, które przedtem służyły dla robotników fabryki. Teren nie był jeszcze ogrodzony. Nam przypadło organizowanie obozu, na modłę obowiązującą w obozach koncentracyjnych.

Budowa obozu

Obóz został zlokalizowany w odległości około 50 metrów od istniejącej fabryki "Gesellschaft für Technische und Wirtschaftliche Entwicklung", w skrócie "GETEWENT", dla potrzeb której mieliśmy pracować jako siła niewolnicza. Była połowa marca 1944 r. W drewnianych barakach, na drewnianych pryczach trzypiętrowych zastaliśmy sienniki, wykonane z papierowego sznurka, i takie same zagłówki. Wszystko wypchane świeżą słomą. Przykrycie stanowił jeden koc. W baraku, do którego zostałem przydzielony w tak zwanej części sypialnej stało 36 trzypiętrowych prycz, w drugim 45. W kącie jadalni, za parawanem stały dwa łóżka pojedyncze, dla blokowego i pisarza. Te posiadały pościel w niebiesko-białą kratę. Umeblowanie tego kąta stanowiła jeszcze szafa i stolik z dwoma taboretami.

Pierwszy nasz posiłek stanowiła zupa kartoflana i 250 gr chleba dostarczonego z kuchni fabrycznej. Stąd dostawaliśmy wyżywienie przez cały okres istnienia obozu. Baraki były bez urządzeń kanalizacyjnych i bez wody. Po spożyciu posiłku zamknięto drzwi i okiennice w oknach i tak zamknięci oczekiwaliśmy rana.

O godzinie 5-tej rano podniosły nas krzyki "postów". Do połowy rozebrani zostaliśmy wygonieni z baraków do porannej toalety w śniegu. Śniadanie stanowił gorzki napój, znany już z poprzednich obozów. Pierwszą pracą było odśnieżenie terenu przeznaczonego na obóz i prowadzących do niego dróg. Praca trwała do przerwy obiadowej, w czasie której znów otrzymaliśmy zupę kartoflaną. Dalszą część dnia i noc znów spędziliśmy w zamknięciu. Wieczorem wydano kawę i chleb z kawałeczkiem margaryny. W bloku, na którym się znalazłem, funkcję blokowego pełnił Paul Beck, a w drugim Karl Klaysner. Następnego dnia rozpoczęto podział więźniów według zawodów. Około 60 więźniów o kwalifikacjach technicznych, ślusarskich i elektrycznych zostało wyznaczonych do pracy w fabryce. Pozostali pracowali przy urządzaniu obozu i jego ogradzaniu. Prace te prowadzono w szybkim tempie. W czasie kilku dni obóz został ogrodzony, a do drutów ogrodzenia włączono prąd. Teren obozu niwelowano

Plan sytuacyjny obozu Reichenau filia Gross-Rosen 1944—1945
(opracował w czynie społecznym na podstawie pomiarów dokonanych w terenie 15 maja 1979 r. J. Urbanowicz)

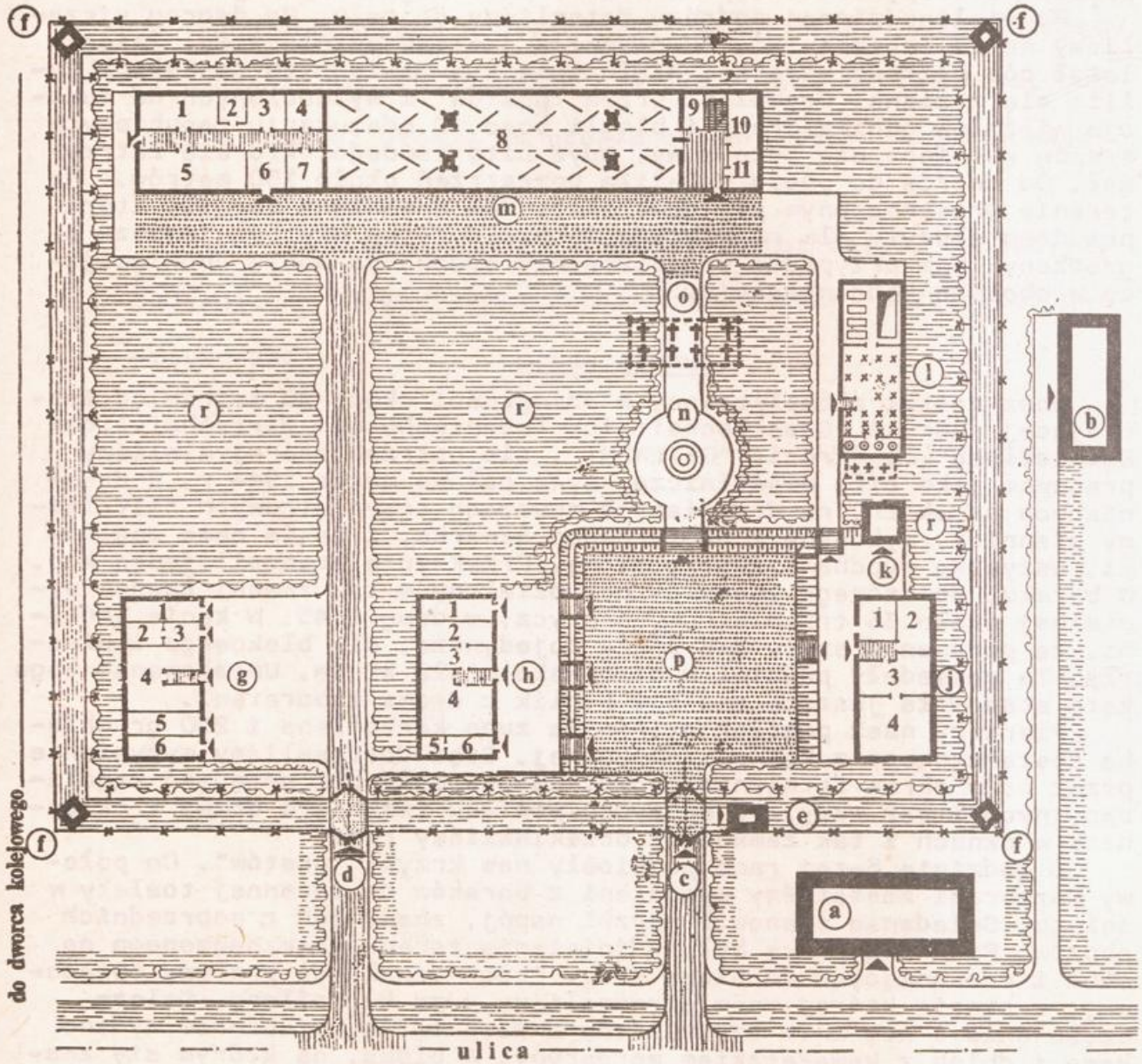

a — barak SS; b — kuchnia zakładu pracy i obozu; c — brama dla więźniów; d — wjazd do zakładu obozu; e — wartownia SS; f — wieże wartownicze; g — barak więźniów: 1 — szewcy i krawcy, 2 — magazyn żywnościowy, 3 — magazyn ubrań więziennych, 4 — sypialnia więźniów, 5 — sypialnia prominentów, 6 — magazyn ubrań i bielizny; h — barak więźniów: 1 — magazyn chleba, 2 — sypialnia więźniów, 3 — jadalnia, 4 — sypialnia więźniów, 5 — szef obozu — gł. pisarz, 6 — kancelaria obozowa; j — barak więźniów: 1 — rozdzielnia paczek, 2 — szpital obozowy, 3 — jadalnia, 4 — sypialnia więźniów; k — trupiarnia; l — urządzenia sanitarne: natryski, wanny, baseny, WC; m — zakład obozowej pracy: 1 — magazyn narzędzi i części zamiennych, 2 — dmuchacz szkła, 3 — spawarki i piły, 4 — magazyn metali, 5 — plecionki ze słomy, 6 — skład wyrobów metalowych, 7 — kierownik oddziału, 8 — maszyny i urządzenia mechaniczne, 9 — kontrola narzędzi pomiarowych, 10 — magazyn, 11 — zbijanie skrzynek; n — fontanna z syrenką; o — prochy więźniów; p — plac apelowy; r — zieleń niska;

skarpy i schody

zieleń — trawniki

ogrodzenie pod napięciem

ogrodzenie z drutu kolczastego

korytarze, wejścia

drogi i place

Plan sytuacyjny obozu Reichenau i legenda z książki Jana Kosińskiego "Liczył się każdy przeżyty dzień"

Nr archiwum 3.9.1.35

do dwóch poziomów. Na rogach ogrodzonego terenu wyrosły wieże strażnicze z reflektorami i karabinami maszynowymi. Nie istniała już dalsza potrzeba zamykania nas na noc w barakach. Dwa baraki nie wystarczały jednak na potrzeby obozu. Rozpoczęto budowę trzeciego.

W ogrodzeniu były dwie bramy. Jedna, przez którą wyprowadzano więźniów do pracy i druga służąca do transportowania do obozu różnych urządzeń i towarów.

Na obszarze obozu zbudowano również warsztaty, w których więźniowie produkować mieli potrzebne fabryce elementy, konieczne dla produkcji. W końcu kwietnia rozpoczęto w obozie budowę fontanny. Projektantem i wykonawcą był Aleksander Piekarski, który zamieścił na niej wykonaną z cementu dużą postać syrenki. Był to swoistego rodzaju element dekoracyjny w obozie. W obozie praca trwała na dwie zmiany. Na górnym terenie obozu rozpoczęto budowę łaźni i umywalni. Tylko do tych pomieszczeń doprowadzona została woda. Istniejąca latryna nie została nigdy skanalizowana. I w łaźni i w pralni była tylko woda zimna. Nie zapomiano też wybudować w skarpie pomieszczenia przeznaczonego do przechowywania zwłok pomordowanych i zmarłych więźniów.

W końcu czerwca trysnęła po raz pierwszy woda w zbudowanej fontannie. Uruchamiano ją tylko w niedziele.

Zbudowane dla potrzeb fabryki pomieszczenie warsztatowe było jednopiętrowe. Na parterze zainstalowano maszyny, takie jak: tokarki, frezerki, heblarki, prasy itp., a na górze urządzono warsztaty rzemieślnicze: ślusarkie, elektryczne, lutownicze itp. Produkcję rozpoczęto w lipcu 1944 roku, początkowo na jednej zmianie. Do lipca wybranych więźniów przeszkalano w fabryce stojącej poza obozem. Do tego przeszkolenia wybrano grupę 60-70 więźniów.

Nadzorcy więźniów

Nadzór nad więźniami sprawowali SS-mani z obozowej załogi, wyznaczeni na funkcje więźniowie, a także cywilny personel fabryki.

W zespole esesmańskim najwyższą funkcję pełnił SS - Hauptschahrführer Ernest Braun, jego zastępcami byli: Mekendorfer i Filip Hoffman /obaj w stopniach podoficerskich/. Załogę stanowiło około 36 SS-manów.

Wśród funkcyjnych więźniów byli: Egon Stelmach /Lagerältester/, Hary Haiche /Lagerschreiber/, Karl Klaysner, Paul Beck, Bernard Katempiarz, Wojciech Drewniak i Piecuch. Ci trzej ostatni tylko w pewnych okresach. Funkcje kapów w grupach roboczych pełnili: Krall /Transport-kolonna/, Aloiz Sep-Stockinger /Baukolonna/, Paul Erlich, Paul Tschech, Kurt Mausezahl, Hans Mońka, Herman Mach, Tadeusz Kępa, Alojzy Kończak /karna kompania/.

Wśród administracji fabrycznej byli: Artur Zenkler /dyrektor fabryki/, Herman Carstens /dyr. techniczny/, Hartman /dyr.ekonomiczny/ i majstrowie: Manty - Anfeld, Rozkop - Rieder, Kalfus, Halder, Reintrock, Jug, Ptajfer, Tuchaczek, Zimmerhacker, Josef Beer, Knoblauch.

Pracujący dla fabryki więźniowie wykorzystywani byli do produkcji: aparatów krótkofalowych, aparatów podsłuchowych, części elektronicznych do V-2, anten radarowych, części radiowych i elektronicznych, do wyrobu skrzynek do radioaparatów i dmuchaniu lamp szklanych.

Wydzielone grupy więźniów wykonywały różne roboty związane z funkcjonowaniem obozu, dla potrzeb załogi SS, a nawet dla ludności zamieszkałej w Reichenau.

Reichenau - fontanna obozowa z syrenką wykonana przez Aleksandra Piekarskiego stanowiła podniosły akcent architektoniczny.

Nr archiwum 3.9.1.25

Do kancelarii obozowej /Schreibstuba/ przydzieleni byli Czesław Łachecki i Stanisław Tomaniewski.

Ucieczki i zwolnienia

W pierwszych dniach maja z terenu fabryki, istniejącej poza terenem obozu, w czasie nocnej zmiany uciekł 18 letni więzień Leibit Michajlo /Rosjanin/. Przez otwarte okienko w ubikacji na trzecim piętrze zdołał spuścić się na przewodzie odgromnika. Niestety pilnujący fabryki wartownicy dostrzegli ucieczkę i złapali śmiałka. Odwagę swą przepłacił życiem. W książce krematoryjnej miasteczka w Libercu znajduje się adnotacja: Leibit Michajlo ur. 25.05.1925 rozstrzelany za próbę ucieczki. Data spopielenia zwłok 5.05.1944. W czasie ewakuacji obozu i w drodze powrotnej zdołali zbiec więźniowie: Grotowski /Grabowski/, Laco i Podgajny. Dwóch Polaków i jeden Czech.

Z grupy chorych pozostawionych na Rewirze zbiegło trzech więźniów: Bedrich Pavlicek, Stanisław Zugerman /Czesi/ i Aleksy Sidorczuk /Ukrainiec/.

W czasie transportu ewakuacyjnego ewakuacyjną grupę opuścili: Egon Stelmach, Hary Haiche, Karl Klaysner, Bernard Katempiarz, Emil Kosek, Krall, Alojzy Sep-Stockinger, Paul Erlich, Paul Techech, Kurt Mauselzahl, Hans Mońka, Kępa Tadeusz, Kończak Aloiz, Witold Syguda, Zak Jan, Biernat Bruno i inni. Pomogli im w tym władze obozowe. Przed ewakuacją, 1 maja 1945 roku, zwolniono z obozu więźniów Czechosłowaków: Josefa Nemec, Jaroslava Papirnika, Zdenka Mrozka, Jaroslava Kulhavy oraz Egila Lovlanda /Norwega/.

Życie w obozie

Panem życia i śmierci w obozie był Lagerführer Ernest Braun. Wysoki, o szczupłej twarzy, w wieku 35-40 lat. Interesował się wszystkimi szczegółami życia obozowego. Odbierał raporty w czasie apeli, przyjmował kierowane tu transporty, przeglądał listy więźniów i nadsyłane im paczki, kontrolował prace schreibstuby, kontrolował baraki więźniarskie, w różnych porach dnia, również nocą. On też kwalifikował chorych zgłaszających się do Rewiru obozowego. Był organizatorem karnych ćwiczeń, wymierzał kary chłosty, i nie tylko.

Pomimo, że stosował zasadę, iż więźniowie nie mają prawa do chorowania, a jedynie do pracy, zmuszony został jesienią 1944 roku do wyznaczenia pomieszczenia dla potrzeb Rewiru. Pomieszczenie to mieściło tylko 6 trzypiętrowych, drewnianych prycz. Była to kropla w stosunku do potrzeb. W praktyce pomieszczenie to stanowiło przedsionek krematorium, ponieważ przyjmowano do niego tylko więźniów będących w przededniu śmierci. Rządził w tym pomieszczeniu, wyznaczony przez Brauna, więzień Aleksy Sidorczuk. W marcu 1945 roku przydzielony tu został student medycyny Tillo /Francuz/. Ten niby szpital nie posiadał ani lekarza ani środków mogących w jakikolwiek sposób ulżyć doli więźniów, tu umieszczonych.

Braun lubował się w zaskakiwaniu więźniów w barakach w okresie nocnym. Zrywał spiących więźniów z łóżek, dokonując różnych rewizji. Stanowiły one okazję do znęcania się nad więźniami i urządzaniu karnych ćwiczeń.

Głód w obozie był powszechny. Szczęśliwcami byli ci, do któ-

rych nadchodziły paczki od najbliższych. Głód stanowił jedną z głównych przyczyn najróżniejszych chorób i śmierci. Wielu więźniów dla zaspokojenia głodu gotowych było do największego ryzyka. Palacze tytoniu cierpieli również na skutek braku tej używki. Ten nawyk był również przyczyną niejednego ryzyka, zakończonego śmiercią.

Praca w fabryce

Dla potrzeb fabryki przydzielona była większość więźniów osadzonych w obozie. Praca w pomieszczeniach fabrycznych w obozie prowadzona była na dwie zmiany. Każda zmiana trwała 10-11 godzin. Była to jednak praca pod dachem, co w warunkach obozowych miało swe pozytywne znaczenie. Ci, którzy zdaniem nadzoru nie byli zbyt wydajni, kierowani byli do robót najcięższych i osadzani w karnej kompanii. Decyzje podejmował Braun. Karna kompania, to jedna z najtragiczniejszych kart obozu. Z osadzeniem w karnej kompanii wiązały się również i inne represje i szykany. Pracujący w fabryce starali się mieć jak najbardziej na baczności. Nie zawsze się to udawało. Nikt nie pragnął skierowania do robót w kolumnach poza fabrycznych.

Praca w komandach obozowych

Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza grupy roboxze wykonujące prace najcięższe. Należała do nich Baukolonna, zatrudniająca kilkudziesięciu więźniów. Początkowo więźniowie tej grupy pracowali przy budowie obozu, a później przy budowie torów kolejowych. Praca tej grupy więźniów odbywała się na jednej zmianie i trwała do 14 godzin. Jesienią i zimą więźniowie byli nieustannie przemoczeni i zmarznięci. W mokrej bieliźnie kładli się spać i w mokrej wstawali. Odzieży nie mieli ani gdzie, ani kiedy suszyć. Przed zimnem ratowali się wkładaniem pod bieliznę różnych papierów z worków po cemencie. Złapani na tym "przestępstwie" byli bici i pozbawiani tej ochrony. Te warunki były przyczyną śmiertelności. W kwietniu 1945 roku grupę tę zapędzono do kopania wojskowych rowów strzeleckich i budowania zapór i umocnień. Koamndoführerem tej grupy był Filip Hoffman.

Drugą grupą roboczą była grupa transportowa. Nadzorcą więźniów, mający na sumieniu wielu więźniów, był kapo Krall.

Więźniowie karnej kompanii drążyli podziemny tunel w skałach, mający połączyć pomieszczenia fabryki, znajdującej na na zewnątrz obozu, z warsztatami zbudowanymi w obozie. Głębokość tunelu wynosiła 6 metrów. Funkcję kapy pełnił Alojzy Kończak. Więźniowie drążący tunel przebywali stale w wodzie po kostki.

Wyżywienie

Wyznaczone więźniom normy żywnościowe stanowiły jedną z form wyniszczania więźniów. Normy te nie mogły zapewnić minimum potrzeb, nawet dla osób nie pracujących. Przy dłuższych, kilkumiesięcznych okresach powodować musiały śmierć głodową. Przydziałowe wyżywienie składało się: rano - gorzki napój, nie więcej niż 0,5 litra; w południe niepełny litr zupy bez tłuszczu, najczęściej z brukwi; wieczorem 0,5 litra gorzkiego napoju, 250 gr niepełno-

wartościowego chleba, z niewielkimi dodatkami marmolady, bądź chudego twarogu, kawałka margaryny, a niekiedy plasterka końskiej kiełbasy.

Zdobycie dodatkowego pożywienia w tym obozie nie było możliwe, jeśli nie liczyć paczek otrzymywanych przez niektórych więźniów. Wszelkie mówienie o jedzeniu i wspominanie spraw kulinarnych z okresu wolności potęgowało tylko uczucie głodu. Dodatkowe racje żywnościowe były dostępne tylko funkcyjnym i ich podopiecznym. Głód sprawiał, że niektórzy z więźniów na skutek głodu stawali się bezwolnym narzędziem obozowych nadzorców.

Utrzymanie dyscypliny w obozie

Celom tym służył nie tylko nadzór esesmanów, ale również istniejąca w obozie koncentracyjnym piramida różnej hierarchii obozowych funkcyjnych, dobieranych spośród więźniów gotowych, a nawet prześcigających esesmanów w gnębieniu więźniów. Rola oficjalnych funkcyjnych czyniła wyostrzoną czujność wśród więźniów. Nie mogli oni już i z tego względu w pełni sprostać zadaniom, stawianym im przez władze obozowe. Bardziej niebezoieczni stawali się często więźniowie - donosiciele o zakazanym postępowaniu więźniów w obozie, o ich postawie i działaniu. Niestety i tacy znaleźli się w obozie Reichenau. Choć było ich niewielu, spowodowali swym postępowaniem wiele ludzkich cierpień i tragedii. Przyczyny takiego ich postępowania były różne. Najczęściej na drogę zdrady doprowadzał nieustanny głód. Głodni nieustannie marzyli o najedzeniu się. Wylizywanie kotłów po jedzeniu było nie lada szczęściem. Do grona szczęściarzy należeli też nieliczni więźniowie, korzystający z pomocy niektórych cywilnych pracowników fabryki. Faktów tych nie należy ukrywać, tym bardziej, że im także za tą pomoc groziły represje. Takie jednostki były nawet wśród nadzorujących więźniów, majstrów fabrycznych.

Pomoc z zewnątrz

Sytuacja więźniów w obozie była znana pracującym osobom cywilnym w fabryce. Poprzez nich o panujących warunkach dowiadywały się bądź dowiedzieć się mogły najbliższe im osoby. Współczucie dla więźniów wykazywali niestety tylko nieliczni. Nieliczni też więźniowie uzyskali zaufanie i dzięki temu pomoc od tej grupy ludzi. Fakty te były skrzętnie ukrywane zarówno przez tych, którzy tej pomocy udzielali, jak i przez tych, którzy z tej pomocy korzystali. Takie były wówczas warunki. Stąd też nie wszystkie te przypadki są do dziś znane i mogą być ukazane. Dwom z tych osób, które zasłużyły na uznanie, trzeba poświęcić nieco uwagi. Pierwszy, to Josef Beer, Niemiec zatrudniony w garażach obozowych. Jeden z więźniów, Stanisław Miętek, korzystał z jego pomocy nawet już po wyzwoleniu, zanim nie stał się zdolnym do wyruszenia w drogę do Polski. Osobiście wiele zawdzięczam majstrowi fabrycznemu Zimmerhackenowi, który był Austriakiem. To przez takich ludzi można było również wysyłać do rodzin nielegalne listy. Udzielana przez nich pomoc miała istotne znaczenie dla jednostek, ale nie zmieniała sytuacji więźniów w obozie. Na ich chociażby tle jakże odróżniają się zbrodniarze w pasiakach, nie porównując już zbrodniarzy w mundurach SS.

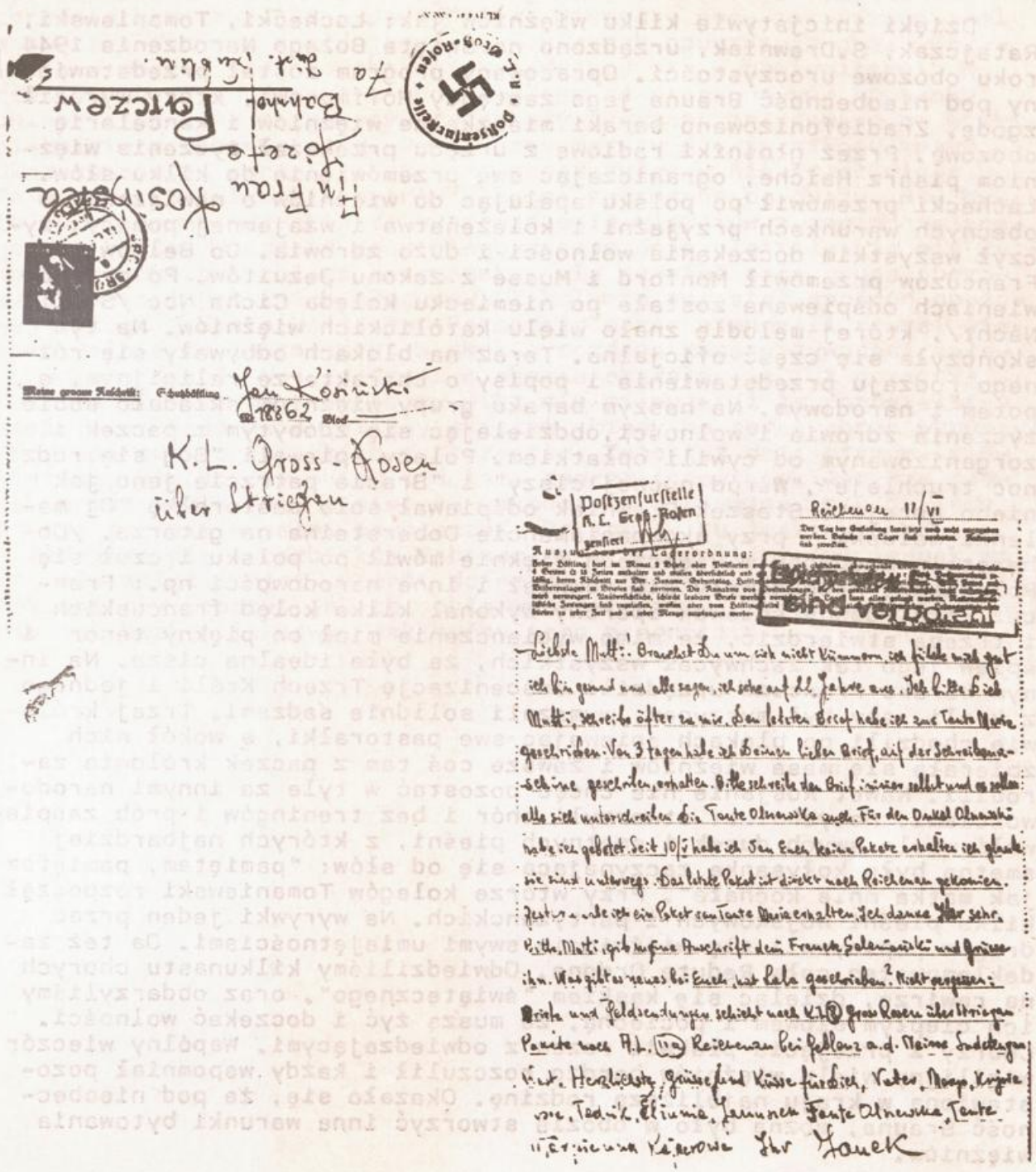

Fotokopia listu wysłanego z Reichenau
do rodziny 11 czerwca 1944 roku

Nr archiwum 5.1.3.54

Ostatnie Swięta Bożego Narodzenia w obozie

Dzięki inicjatywie kilku więźniów jak: Łachecki, Tomaniewski, Ratajczak, S.Drewniak, urządzono na Święta Bożego Narodzenia 1944 roku obozowe uroczystości. Opracowany program został przedstawiony pod nieobecność Brauna jego zastępcy Hoffmanowi, który wyraził zgodę. Zradiofonizowano baraki mieszkalne więźniów i kancelarię obozową. Przez głośniki radiowe z urzędu przekazał życzenia więźniom pisarz Haiche, ograniczając swe przemówienie do kilku słów. Łachecki przemówił po polsku apelując do więźniów o nawiązanie w obecnych warunkach przyjaźni i koleżeństwa i wzajemnej pomocy, życzył wszystkim doczekania wolności i dużo zdrowia. Do Belgów i Francuzów przemówił Monford i Musse z zakonu Jezuitów. Po przemówieniach odśpiewana została po niemiecku kolęda Cicha Noc /Stille Nacht/, której melodię znało wielu katolickich więźniów. Na tym skończyła się część oficjalna. Teraz na blokach odbywały się różnego rodzaju przedstawienia i popisy o charakterze religijnym, a potem i narodowym. Na naszym baraku grupy więźniów składało sobie życzenia zdrowia i wolności,obdzielając się zdobytym z paczek i zorganizowanym od cywili opłatkiem. Polacy śpiewali "Bóg się rodzi noc truchleje","Wśród nocnej ciszy" i "Bracia patrzcie jeno jak niebo goreje". Staszek Drewniak odśpiewał solo pastorałkę "Oj maleńki maluśki", przy akompaniamencie Dobersteina na gitarze. /Doberstein urodzony w Niemczech pięknie mówił po polsku i czuł się Polakiem/. Produkowały się również i inne narodowości np.: Francuz Pach, dawny śpiewak operowy wykonał kilka kolęd francuskich i trzeba stwierdzić, że mimo wycieńczenia miał on piękny tenor i śpiew jego tak zachwycał wszystkich, że była idealna cisza. Na innym baraku Francuzi urządzili inscenizację Trzech Króli i jednego z króli, aby był murzynem, wymazali solidnie sadzami. Trzej królowie chodzili po blokach śpiewając swe pastorałki, a wokół nich zbierała się masa więźniów i zawsze coś tam z paczek królowie zarobili. Nawet Rosjanie nie chcąc pozostać w tyle za innymi narodowościami, natychmiast stworzyli chór i bez treningów i prób zaśpiewali wiele swych dumek i smętnych pieśni, z których najbardziej smętna była kołysanka zaczynająca się od słów: "pamiętam, pamiętam jak matka mnie kochała". Przy wtórze kolegów Tomaniewski rozpoczął kilka pieśni wojskowych i partyzanckich. Na wyrywki jeden przed drugim popisywali się więźniowie swymi umiejętnościami. Ja też zadeklamowałem całą Redutę Ordona. Odwiedziliśmy kilkunastu chorych na rewirze, dzieląc się kąskiem "świątecznego", oraz obdarzyliśmy ich ciepłym słowem i pociechą, że muszą żyć i doczekać wolności. Chorzy z przejęcia płakali razem z odwiedzającymi. Wspólny wieczór wigilijny wielu więźniów bardzo rozczulił i każdy wspomniał pozostawioną w kraju najbliższą rodzinę. Okazało się, że pod nieobecność Brauna, można było w obozie stworzyć inne warunki bytowania więźniów.

Świadomość zbliżającej się hitlerowskiej klęski

Minęła zima i przyszła wiosna, a z nią coraz więcej nadziei na upragnioną wolność. Nadal pracujemy i nadal umierają więźniowie. Wyżywienie jest coraz gorsze, a więźniowie coraz słabsi. W dniu 1 maja 1945 roku zwolniono kilku więźniów. Po obozie zaczęła krążyć wieść, że mamy być z obozu wyprowadzeni, aby tu nie zastała nas wolność. Liczymy w duchu, że może władze obozowe nie zdążą już zrea-

lizować tego zamiaru. Zdenerwowanie ogarnęło wszystkich. Na obozowych oprawcach coraz bardziej maluje się strach. Wiedzą, że za zbrodnie będą musieli odpowiedzieć. Niestety nocą zarządzono apel w obozie. Wszyscy znajdujący się w blokach opuszczają obóz. Pozostają w obozie jedynie chorzy, znajdujący się w pomieszczeniach rewirowych. Wychodzącym z obozu wydano na drogę po pół bochenka chleba i kawałku margaryny. Pozostały prowiant załadowano na wózki, ciągnięte przez więźniów. Cel i czas marszu nie są nikomu znane. Okazało się na szczęście, że ten marsz tułaczy nie trwał długo. Po przejściu kilku kilometrów kolumnę zawrócono do obozu. Nie było już zapewne warunków do wyprowadzenia więźniów z zacieśniającego się kotła. W czasie powstałego zamieszania ulotniła się nie tylko stara obozowa załoga esesmańska, ale również cała grupa obozowych funkcyjnych i ich sługusów. Z kolumną pozostał spośród obozowej załogi jedynie Hoffmann. Pozostały dozór stanowili starsi wiekiem żołnierze Wehrmachtu. W obozie rozdano zapasy żywności załadowane na drogę. Noc spędzona w obozie okazała się już ostatnią. Rankiem okazało się, że obozu nikt nie pilnuje, i że pozostaliśmy sami. W wolność uwierzyliśmy w pełni, kiedy na teren obozu wkroczyła grupa czechosłowackich partyzantów. Tego też dnia otrzymaliśmy pierwszy nieobozowy obiad i dalsze zaprowiantowanie. Jeszcze jednak przez wiele dni, pomimo że zakończyła się wojna, nie byliśmy na tym terenie w pełni bezpieczni. Grasowały tu jeszcze bandy, składające się z rozbitków Wehrmachtu i SS. Byliśmy już jednak wolni, ale wciąż czujni. Powrót do normalnego trybu życia nie był jednak ani tak prosty, jak to sobie wyobrażaliśmy, będąc w obozie, ani nie tak bezkompleksowy, jak byśmy tego pragnęli.

Wrzesień 1978 roku. Bohumil Madera - przewodniczący Miejskiego Narodnego Vyboru w Rychnov dziękuje kol. Janowi Kosińskiemu za inicjatywę i wkład pracy jego i współtowarzyszy w ufundowanie tej tablicy i przekazanie dla miasta Rychnov. Tablica chwilowo została umieszczona w Izbie Pamięci Narodowej miejskiej szkoły

Nr archiwum 3.9.2.11

Henryk Uchman
P - 59759

GDY BYŁEM W REICHENAU

Do komanda Reichenau, prawdopodobnie w pierwszych dniach lutego 1945 roku, przybył pieszo około 100-osobowy transport z odległego o kilka kilometrów komanda Gablonz. W tym transporcie znalazłem się i ja. Rosjanie, Francuzi, Polacy, wśród których sporą grupę stanowili warszawiacy przywiezieni do Gross-Rosen wrześniowym transportem powstańczym z obozu przejściowego w Pruszkowie. Maszerowaliśmy w mroźny słoneczny dzień bocznymi drogami polnymi do nowego miejsca przeznaczenia. Na polach zalegał śnieg, iskrzący się w słoneczku i skrzypiący pod drewniakami maszerującej kolumny więźniów.

Przypomina mi się coś związanego z tą drogą. Przechodziliśmy obok zagajnika, spojrzałem w głąb młodego lasku i zobaczyłem coś białego, ale nie podobnego do śniegu. Sąsiad mój powiedział, że są to skorupki od jaj. Zupełnie zapomniałem o istnieniu kurzych jaj i zacząłem sobie wyobrażać, jak ktoś szczęśliwy może jeść ugotowane na twardo jaja okraszone solą. Jaki to musi być wyborny smak! Czy ja jeszcze kiedy będę je jadł? ... I jeszcze nasuwa mi się inne pytanie: dlaczego oni wysłali nas z Gablonz? Prawdopodobnie, żeby zrobić miejsce dla prominentów przybyłych do obozu przed kilku dniami z ewakuowanego Oświęcimia. W Gablonz brak było miejsca, a oni przybyli w nowych czystych pasiakach, z bagażem osobistym, mieli nowe, ciepłe, wełniane koce, własne mydło, szczoteczki do zębów. W porównaniu z nami byli magnatami. I nie tylko unikali z nami rozmowy, ale zabraniali nam się zbliżać prawdopodobnie w obawie przed zawszeniem i zarażeniem. Więc może dlatego my odchodzimy do innego komanda, żeby dla tych ważnych zrobić wygodniejsze miejsce ... Prominent w gwarze obozowej to więzień ustosunkowany, czy to przez protekcję czy przez okup z otrzymywanych paczek czy z powodu funkcji obozowej miał wygodniejsze warunki pracy i większą szansę przetrwania.

Na takich rozmyślaniach upłynęła mi pozostała część marszu. Ze wzniesień widać już było panoramę okolicy, zabudowania willowe i wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do nowego obozu.

Reichenau - to nazwa niemiecka - obecnie miasteczko Rychnov w Sudetach na terenie Czechosłowacji, usytuowane w kotlinie, otoczone malowniczymi wzniesieniami Podgórza Karkonoszy. Tutaj Niemcy zlokalizowali jeszcze jedną filię obozu Gross-Rosen, aby wykorzystać niewolniczą siłę roboczą dla przemysłu zbrojeniowego. Sam obóz położony na krańcach miasteczka, ale stosunkowo blisko, bo około 500 metrów od dworca kolejowego, był ogrodzony podwójnym płotem z drutami kolczastymi pod napięciem, a nad ogrodzeniem górowały wieżyczki wartownicze. Przy bramie wejściowej stała wartownia. Wewnątrz obozu kilka baraków drewnianych na pomieszczenia dla więźniów, magazyn, rewir - szpital obozowy, osobny barak na umywalnię połączoną z ubikacją. W środku, między blokami, był plac apelowy, a dalej na wyższym poziomie, znowu plac i drewniane zabudowania fabryki obozowej.

Przydzieleni zostaliśmy na blok Nr 2. Od tej pory zostaliśmy komandem roboczym "baukolonne" do budowy linii kolejowej. Przyjęto nas bez specjalnych szykan. W bloku tym mieszkali również więźniowie pracujący w fabryce. W odróżnieniu od obozu w Gablonz, gdzie

w jednym budynku murowanym mieściły się wszystkie urządzenia obozowe i pomieszczenie dla całego stanu osobowego, tutaj - podobnie jak w Gross-Rosen - obóz stanowiły baraki drewniane. Nie były one jak w Gross-Rosen skanalizowane i w nocy potrzeby swoje więźniowie załatwiali do blaszanych kadzi, które rano były przez dyżurnych opróżniane. Ogólna latryna przy umywalni była udostępniona dla nas tylko w dzień, gdyż nocą cały teren był oświetlony i chodzenie po obozie groziło zastrzeleniem.

W poprzednich okresach więźniowie "baukolonny" byli wykorzystywani przy zakładaniu obozu: budowali baraki obozowe, fabryczne pomieszczenia, pracowali przy drążeniu tunelu do obozu z fabryki głównej leżącej poza obozem i przy budowie willi dla lagerführera. My przeznaczeni byliśmy do pracy przy wykopie wąwozu dla przeprowadzenia toru kolejowego w górach.

Przez cały tydzień życie więźniów komanda Baukolonne na bloku ograniczało się tylko do przespania w nocy. Zaraz po śniadaniu apel, później do pracy. Wracaliśmy wieczorem bardzo zmęczeni i prawie w nocy po zjedzeniu zimnej zupy obiadowej kładliśmy się spać.

W baraku bloku drugiego wydzielona była część sypialna z pryczami trzypiętrowymi i część jadalna, w której stały stoły i ławy. Drewniane prycze stały rzędami blisko siebie, sienniki papierowe wypełnione były słomą ze starości startą niemal na proszek. To samo dotyczyło podgłówka. Nakrywaliśmy się szmatami, które kiedyś nazywały się kocem.

W sypialni było tak ciasno, że nie odczuwało się za bardzo zimna. Wolno było do niej wejść tylko w bieliźnie, gdyż ubranie, ułożone w kostkę, pozostawialiśmy na ławach w jadalni. Ubrań w nocy pilnowali tzw. dyżurni. Oczywiście byli to więźniowie ustosunkowani, dobrze widziani przez władzę blokową, a ich częstym zajęciem było plądrowanie naszych ubrań i ograbianie z wszelkiego dobra, jak pozostawiony kawałek chleba czy szczypta tytoniu. Nawet nie mogliśmy ustalić, kto był sprawcą kradzieży, gdyż dyżurujący zmieniali się co kilka godzin według im tylko wiadomego grafiku. Właśnie dyżurni dokładnie nas rewidowali, abyśmy nic nie mieli przy sobie wchodząc do sypialni.

Prawdopodobnie w kwietniu zaczęliśmy dostawać trochę tytoniu. Ci co nie palili, odstępowali swój tytoń za kawałek chleba według ustalonej taryfy, zwyczajowo "na oko". Ja paliłem /przeważnie liście z drzew/, więc zacząłem tytoń kupować. Ponieważ zapasu pozostawionego w ubraniu na noc rano już nie znajdowałem, postanowiłem przemycić tytoń do sypialni. Udało się mi przenieść go pod pachą. Schowałem dyskretnie pod podgłówek, gdy nikt nie widział, lecz tak mi się tylko zdawało, bo rano już tytoniu nie znalazłem. Byliśmy spracowani, więc sen mieliśmy twardy, a złodziejskie oko było czujniejsze od mojej przezorności. Gdy powtórzyło się to kilkakrotnie, zwierzyłem się przyjaciołom. Wspólna akcja śledztwa wykazała, że kradł mi tytoń ten, od którego stale go kupowałem. Gdy w "wäschraumie" udowodniono mu kradzież, koledzy chcieli zrobić samosąd, lecz na to się nie zgodziłem. Skradziony ostatniej nocy tytoń został mi zwrócony i odtąd już mi nie ginął w sypialni. Zawsze się znajdują tacy, co chcą żyć kosztem innych, ale były to bolesne wyjątki, bo przyznać muszę, że ogół więźniów stanowił grupę solidarnie dzielącą swój okrutny los.

Według relacji więźniów, w poprzednich okresach blokowy, którym był Niemiec Paul Beck, bardzo srogo traktował więźniów. Funkcję blokowego pełnił również Polak Kępa. Nie wykazywali oni wyrozumiałości w stosunku do więźniów.

W porównaniu z niedzielami w Gablonz mieliśmy tutaj więcej

spokoju. Wprawdzie niedziela dla nas zaczynała się dopiero po południu, gdyż rano również wyjeżdżaliśmy do pracy, ale wracaliśmy na obiad, po którym zaczynał się odpoczynek. Mniej też zarządzano zbytecznych apeli, nie było śpiewu w mokrych ubraniach, jak w Gablonz. Odwszawianie odbywało się raczej z potrzeby, bez zbytecznych udręczeń i szykan stosowanych w poprzednim obozie. Tylko w niedzielę można było znaleźć czas na spacer i pogawędkę koleżeńską po placu obozowym. Niemniej i tutaj obowiązywały żelazne rygory obozu koncentracyjnego. Władza spoczywała w ręku esesmanów i niemieckich przestępców kryminalnych, podobnie jak w Gross-Rosen i Gablonz. Była też jak w Gross-Rosen karna kompania. Zdarzało się bicie i maltretowanie więźniów za najdrobniejsze przewinienia. Należało być bardzo czujnym.

W Reichenau spotkałem paru znajomych,m. in. Edwarda Sobczaka z Włoch, który nieraz dzielił się ze mną dymkiem z papierosa. Zawsze miał przygotowane w pudełeczku skręty. Ucieszyłem się też ze spotkania Bronisława Stachurskiego, długoletniego pracownika Urzędu Pocztowego w Warszawie na Placu Napoleona, przyjaciela mego ojca, z którym wspólnie długie lata pracowali. Tutaj był konserwatorem linii elektrycznych, więc miał zawsze dużo wiadomości o tym, co działo się w obozie. Pozyskałem również nowych przyjaciół, których nazwiska ustaliłem dopiero po wyzwoleniu, a między innymi dwóch inżynierów elektr. Michała Borkowskiego, który zawsze służył dobrą poradą i Stefana Stańskiego umiejącego rozweselić kolegów i rozproszyć ich przygnębienie. Obaj pracowali w fabryce. Obóz w Reichenau, przy stanie 500 więźniów, stanowił zespół międzynarodowy. Najwięcej było Polaków, ale sporą grupę stanowili Francuzi, Belgowie, Rosjanie, Czesi, Jugosłowianie i Niemcy. Na szczęście mało było Niemców z zielonymi winklami i od takich stroniliśmy. Gdy przybyliśmy do obozu, był już przy bloku 3 rewir, w którym na szczęście nigdy nie byłem, gdyż brakło tam zarówno lekarzy, jak i lekarstw. Jedynym uchodzącym za lekarza na rewirze był więzień Ukrainiec Fedorczuk. Zmarłych już nie odwożono do krematorium,lecz grzebano za obozem w ziemi.

Fabryka stanowiła główny akcent architektoniczny w obozie,gdyż zlokalizowana została na wyższym poziomie terenu w stosunku do obozu wraz z przyległymi zabudowaniami. Fabryka potrzebowała wykwalifikowanych sił roboczych,wyszukiwano więc w Dachau, Auschwitz, Mathausen specjalistów różnych narodowości i kierowano ich do Gross-Rosen,a stamtąd do Reichenau.

Przez kontakty z kolegami zatrudnionymi w fabryce wiedzieliśmy, że produkują dla wojska aparaty radiowe, krótkofalowe, sprzęt radiolokacyjny, anteny radarowe i części do łodzi podwodnych.

Mimo, że warunki pracy w fabryce były dużo lżejsze od pracy w Baukolonne, to niedożywienie i wycieńczenie spowodowane głodem, złym traktowaniem, niewyspaniem, biciem a także dodatkowe szykany po pracy i brak opieki lekarskiej wszystko to powodowało dużą śmiertelność.

Przyczyniło się też do tego w niemałym stopniu - o czym już mówiłem wykorzystanie przez SS niemieckich więźniów kryminalnych, którym powierzono różne funkcje obozowe, a którzy odznaczali się sadyzmem.

Budujemy drugi tor

Więźniowie zatrudnieni w"baukolonne" to w większości nasza 100 osobowa grupa z Gablonz. Już się trochę znaliśmy i stanowiliśmy w

obozie odrębne środowisko. Mieliśmy najcięższą sytuację, gdyż cały dzień przebywaliśmy w terenie na otwartej przestrzeni w mróz, śnieg, deszcz i wiatr, a więc przez luty, marzec i część kwietnia. Należałem do nich. Jedynym naszym ubraniem były pasiak i "mantel" - płaszcz obozowy, zabrane z Gablonz. Chcąc się zabezpieczyć przed zimnem i mrozem więźniowie okrywali ciało workami po cemencie, za co nie jeden raz byli bici przy apelu, którym rozpoczynał się dzień pracy. W "wäscheraumie" - bo tak potocznie nazywaliśmy umywalnię - czekaliśmy na eskortę "postów" - wartowników, którzy pod dowództwem podoficera SS konwojowali nas na dworzec kolejowy. Tam na osobnym torze podstawiany był pociąg specjalny, który wiózł nas kilkanaście kilometrów na miejsce pracy.

Czekając na pociąg trzęśliśmy się z zimna. A na przeciwko nas przed budynkiem stacyjnym, na peronach, kobiety i mężczyźni w futrach lub paltach z kołnierzami i w ciepłych czapkach, syci i czyści, oczekiwali na swoją docelową podróż, jakże odmienną od naszej. Patrzą z nudów na nas, bandytów w pasiakach, pilnowanych przez wojsko z karabinami gotowymi do strzału. Co oni teraz myślą? Czy znają o nas prawdę? Wreszcie jest nasz pociąg, wsiadamy do wagonów, krzyki i popędzanie, normalnie, jak w zwyczaju Niemców. Już się przyzwyczailiśmy. Za jakąś stacyjką pociąg się zatrzymał. Pobieraliśmy przygotowane łopaty, szufle, kilofy i maszerowaliśmy na plac robót. W głębokim wąwozie biegł pojedynczy tor kolejowy. Po obu stronach unosiła się wysoka skała porośnięta lasem. Mieliśmy z jednej strony karczować las, kopać ziemię, a później kuć skałę. Urobek należało ładować na wagony-platformy podstawionego pociągu towarowego. Miał tutaj być ułożony drugi tor. Podzieleni na grupy robocze, mieliśmy zapowiedziane, że pociąg odjedzie dopiero po załadowaniu urobkiem.

I ta zasada była zawsze przestrzegana. Do jednego wagonu przydzielono 8 do 10 więźniów, czyli pociąg towarowy składał się z około 10 wagonów. Jedni kilofami kuli skałę, drudzy łopatami kopali, a jeszcze inni szuflami zrzucali urobek z kilkunastometrowej wysokości, aby przygotować załadunek do wagonu. Że przy tej pracy byliśmy ostro pędzeni nie trzeba chyba dodawać.

W południe nie otrzymywaliśmy obiadu, tylko kolację obozową, przy czym tzw. kawa była dowożona w termosach.

Pod wieczór schodziliśmy do wąwozu, zaczynało się ładowanie wagonów. Gdy esesmani sprawdzili, że wszystkie wagony są dodatecznie zapełnione, pociąg ruszał prawdopodobnie w kierunku Libenau /jeśli dokładnie pamiętam/. Tam znowu zrzucaliśmy na jedną stronę urobek skalny do zrobienia nasypu. Tę czynność wykonywaliśmy już po ciemku. Czasami była to godzina 21.00 lub 22.00, nieraz nasza katorżnicza praca kończyła się po północy. Dopiero wtedy wracaliśmy do obozu, by zjeść zimną zupę, pozostawioną z obiadu. Ubranie, przeważnie mokre, składaliśmy w kostkę aby rano ciągle mokre znów włożyć, wypić polewkę, stanąć do apelu, a później czekać na konwój. I tymi czynnościami odmierzaliśmy swój czas od niedzieli do niedzieli, gdyż w niedzielę pracowaliśmy, jak już wspomniałem, tylko pół dnia.

Wszystko to przerastało nasze siły, było nie do wytrzymania przy tym rodzaju odżywiania i przy braku wypoczynku, nic więc dziwnego, że słabliśmy, kilof stawał się coraz cięższy, praca się przedłużała do coraz późniejszych godzin, co i esesmanom nie odpowiadało. Nie pomagało już ani bicie ani esesmańskie wrzaski. Ludzie padali.

Prawdopodobnie dowódca załogi esesmanów, który nas konwojował,

nawiązał kontakt z władzami kolejowymi i wyjednał dla "baukolonny" "frisztiki". Było to coś niezwykłego. Duża kromka chleba, a na niej plastry marynowanego mięsa. W warunkach obozowych było to coś wspaniałego i niespotykanego. Nie chwaliliśmy się tym nawet w obozie. Niestety i "frisztiki" nie wiele już mogły pomóc. Pracowaliśmy więc, ale nawet esesmani widzieli, że jesteśmy wykończeni. Zima już się skończyła, zbliżała się wiosna. W górach jeszcze kapryśna, ale słońce coraz bardziej osuszało nasze pasiaki. Prawdopodobnie i Niemcom robiło się coraz goręcej na frontach, a tor był zapewne pilnie potrzebny dla celów wojskowych.

Do pomocy przybyli więc mężczyźni różnej narodowości z okolicznych obozów pracy. Ubrani byli w cywilne ubrania, ale na marynarkach mieli numery. Wagony szybciej były teraz ładowane, ale rozładunek ciążył dalej na nas.

Władze stosowały wszelkie środki ostrożności, abyśmy nie mieli kontaktu z cywilami. Przede wszystkim wyznaczyli osobny teren dla nas, osobny dla nich. Teren styku obu odcinków pracy był pilnowany przez esesmanów. Więźniowie obozów pracy byli ostrzeżeni, że za rozmowę z nami zostaną wysłani do obozu koncentracyjnego, my natomiast, że grozi nam zastrzelenie. Mimo tych zakazów udawało się czasami pracującym na styku obu grup jakoś porozumieć, choć byli przeważnie innej narodowości. Przerzucali oni też czasami na naszą stronę kawałek chleba, choć pewno sami mieli go mało. Niewielu z nas skorzystało z takiej okazji, bo nie zdarzały się one często. Nieraz starałem się pracować w pobliżu styku naszych frontów,robót, ale nic mi się nie nadarzyło.

Jak dalece praca w "baukolonne" była wyniszczająca, podam jako przykład więźnia Rosjanina, który w Gablonz miał najlżejszą pracę, bo sprawdzał w fabryce marki kontrolne, jakie otrzymywaliśmy od majstrów przy wejściu do ubikacji. Był zdrowy, dobrej budowy, nic więc dziwnego, że nieraz zazdrościłem mu lekkiej pracy. Ale tutaj nikł w oczach. Słabnącemu pomagaliśmy wracać, wyręczaliśmy go, jak się dało, nadaremnie. Doszło do tego, że już nie było mowy o pracy, nawet chodzić nie mógł. Poszedł na tzw. rewir, gdzie długo walczył o życie. Zmarł 8 maja, w dniu odzyskania wolności. My też muzułmanieliśmy. Twarze i nogi mieliśmy opuchnięte, ręce pokaleczone i popękane. Rozpaczliwie szukaliśmy ratunku. Kiedyś zobaczyłem, że Francuzi wybierają ze skarpy małe, białe korzonki i zjadają. Spróbowałem i ja. Korzonki były delikatne, dały się rozgryść i miały w sobie trochę soku. Przy każdej okazji ratowałem się tą "nowalijką". Zaczynał się kwiecień.

Coraz częściej zdarzały się przerwy w pracy spowodowane alarmem lotniczym. Kazano nam wtedy kłaść się pod burtą skały. Tu właśnie, czekając na odwołanie alarmu, wyszukiwałem smaczne korzonki. Było już ciepło, słońce mocno grzało śląc promienie prostopadle do stoku góry. A z góry dochodził nas szum i warkot setek motorów.Były to tak zwane dywanowe naloty aliantów, kierujące się w głąb Rzeszy. Ożywiamy się nadzieją. Już chyba niedługo. W końcu kwietnia "baukolonna" nie pojechała na teren budowy drugiego toru.

Od początku pracy w baukolonnie pilnie obserwowałem zachowanie poszczególnych członków naszego konwoju. Najbardziej zainteresowałem się ich dowódcą. Nigdy nie umiałem odróżnić stopni wojskowych w niemieckim wojsku, ale myślę, że był on podoficerem. Odrębną cechą tego człowieka było jego zachowanie - nigdy nie krzyczał. Komendy i polecenia wydawał zdecydowanie, ale nie cechowała go typowa hałaśliwość i buta. Miał inteligentną twarz. Pracując raz w jego pobliżu spostrzegłem, że gdy jest sam to nigdy nie rozdeptuje

wypalonego papierosa, lecz odrzuca go od siebie i odwraca się. Wykorzystałem nadarzającą się okazję i podniosłem niedopałek, gdy się oddalił. To był początek. Robił tak każdego dnia. Natomiast rozdeptywał niedopałek, gdy był w towarzystwie esesmana z naczego konwoju. Zrozumiałem z tej dyskretnej obserwacji, że nie wolno im było pozostawiać niedopałków, aby więźniowie z nich nie korzystali, czego on osobiście nie przestrzegał, ale był ostrożny. Czyżby w ten sposób chciał ulżyć naszej niedoli?

Pewnego razu, gdy było bardzo zimno, zgodził się, aby kilku więźniów poszło do wioski i przyniosło w termosie gorącej wody do picia. To już było zadziwiające. Innym razem pozwolił, abyśmy zrobili przerwę w pracy, a kilku więźniów w rozpalonym ognisku upiekło kartofle, a to już znaczyło bardzo dużo. Jak na esesmana było to nie spotykane. Właśnie on przez tłumaczy kazał nam powiedzieć, że poczynione są starania o "frisztiki" od kolei. Zauważyłem, że jest bardzo wymagający w stosunku do żołnierzy, którym często zwracał uwagę za niewłaściwą postawę, czy niestaranny ubiór, natomiast nie chce widzieć naszych umęczonych, powolnych ruchów lub nawet postojów dla wyprostowania zbolałego krzyża. Czułem w nim ukrytego przyjaciela, choć w znienawidzonym mundurze. Że zdarzają się wśród Niemców nieliczni ludzie wrażliwi na ból, było dla mnie wielką pociechą.

Niedzielny obiad

Wyżywienie więźniów w Reichenau nie odbiegało w zasadzie od normy przyjętej w innych znanych mi obozach, a więc na śniadanie jakaś gorąca pseudokawa, na obiad miska zupy z brukwi lub zielska, a na kolację pajdka chleba, znów kawa z żołędzi, margaryna.

Odmienne natomiast było rozdzielanie chleba. W Gross-Rosen i Gablonz otrzymywaliśmy gotowe "pajdki", tutaj na stół wydawano cały bochenek, który dzieliło się na części. Jedna część powinna była ważyć około 100 gramów. Podział chleba był bardzo skrupulatny, więźniowie skonstruowali prymitywne wagi szalkowe i na nich dzielili porcje. Nawet okruszyny były sprawiedliwie rozdane. Nic w tym dziwnego, przecież chleb był najcenniejszy, stał się nawet miernikiem handlu wymiennego. Palacz właśnie za kawałek chleba mógł kupić od drugiego coś do palenia. Kradzież chleba w obozie była bardzo surowo karana, na szczęście należało to do wyjątków. Ja przyjąłem zasadę przeznaczania tylko małej części chleba na wymianę. Innością w Reichenau było wydawanie tytoniu. Zaczęło się to w kwietniu i miało miejsce może 2 lub 3 razy, niedługo przed wyzwoleniem, ale i to już poprawiło trochę sytuację palaczy.

Podstawowym daniem w obozie był obiad, ale właśnie w Reichenau dopiero w niedzielę spełniał on nasze marzenia. W niedzielę "baukolonne" otrzymywała gorącą zupę obiadową, gdyż wcześniej wracaliśmy z pracy, ten posiłek był więc wspólny dla całego bloku. Przy jednych stołach zasiadali raz w tygodniu spokojnie, bez pośpiechu, towarzysze "baukolonny" z kolegami pracującymi w fabryce. Nic nie było tak atrakcyjnego i podniecającego, jak wydawanie obiadu, tej jednej jedynej miski gorącej, lichej strawy. Gorącej tylko raz w tygodniu - w niedzielę. Obserwowałem kolegów, gdy z godnością delektowali się każdą łyżką. Zawartość miski była opróżniana do ostatniej kropelki. Później następowała cisza. Wszyscy patrzyli na kocioł, w którym jeszcze została zupa. W Gablonz dodatki dostawali funkcyjni, czyli milicja obozowa, "piple", sanitariusze, czasami fryzjerzy i inni, którzy wykonywali jakieś dodatkowe roboty na bloku. Ponadto resztę zupy "küchekapo" rozdzielał wśród młodocia-

nych, co było aprobowane przez wszystkich jako sprawiedliwe. Tutaj dolewka również należała się funkcyjnym, ale do kotła nikt nie mógł podejść. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Blokowy uważnie obserwował twarze więźniów i palcem wskazywał, kto ma podejść po dolewkę. Okazało się, że wybiera muzułmanów, więźniów najbardziej wyczerpanych. W Gross-Rosen i Gablonz muzułmanin nie miał szans - tutaj blokowy szansę im dawał. W duchu akceptowałem jego taktykę i dziś, wspominając tę chwilę, podkreślam ją bezinteresownie, bo nigdy nie wskazał palcem na mnie. Było dużo kolegów gorzej wyglądających, szczególnie z "baukolonne", była wśród nas młodzież, która potrzebowała więcej jedzenia od nas dorosłych.

Poważnym dla mnie zagrożeniem stały się objawy nowej choroby. To nic, że nogi miałem opuchnięte i ropiejące, do tego się już przyzwyczaiłem. Wrzody na całym ciele i głowie już tak nie dokuczały, pozostały mi tylko blizny na piersiach i głowie, oraz jakieś guzy, ale i tego też się nie bałem. To nowe nawiedzało mnie właśnie w niedzielę po obiedzie. Jeszcze siedzimy przy stołach, a ja w pewnej niespodziewanej chwili tracę przytomność i upadam na ziemię. Mam początkowo trochę duszności, ale później nic już nie pamiętam. Gdy powraca świadomość, bolą mnie wszystkie mięśnia rąk, nóg i głowy. Zdarzało się to na moje szczęście tylko w te poobiednie niedziele. Koledzy zasłaniali mnie przed wzrokiem funkcyjnych. Nie opuszczał mnie i opiekował się mną głównie Leon Dzierżanowski, współtowarzysz z tego samego transportu. Do końca pobytu w obozie miałem te ataki tylko w niedzielę, na szczęście nie zauważone przez władze. Leon zajmował zawsze miejsce obok, aby mnie uchronić od nagłego upadku. Co by się ze mną stało, gdyby taki przypadek zdarzył się mi przy pracy albo w czasie marszu. Może to niedziele zdziałały, że przeżyłem Gross-Rosen. Podobno kiedyś blokowy kazał powiesić dwóch więźniów za kradzież chleba. Wyrok to bardzo srogi, ale nie wiem, czy nie był słuszny. W warunkach obozowych kradzież chleba to prawie wyrok śmierci dla okradzionego, a przecież byli tacy, o czym już wspominałem, którzy za każdą cenę nawet kosztem życia okradali drugiego więźnia. Blokowy naszego bloku 2 po wyzwoleniu został rozpoznany w kraju przez kilku współwięźniów i wyrokiem Sądu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej skazany na kilka lat więzienia. Sprawiedliwy i słuszny rozdział nadwyżki zupy i łagodniejsze obchodzenie się z więźniami na kilka miesięcy przed wyzwoleniem nie złagodziło gniewu byłych więźniów za popełnione przez niego czyny w okresie wcześniejszym.

Gdy zbliżał się front, a więc w kwietniu, robiło się coraz cieplej nam od słońca, wrogowi od nacierającej ofensywy radzieckiej i od nalotów alianckich.

Wiedzieliśmy już, że od lutego obóz Gross-Rosen został zlikwidowany, a teraz był zajęty przez wojska radzieckie. Esesmańska komendantura obozu Gross-Rosen przeniosła się do Reichenau.

Pewnego dnia w komunikacie dla więźniów podano, że kto zgłosi się ochotniczo do służby wojskowej, zostanie z obozu zwolniony. A więc wolność za cenę hańby. Długo komentowaliśmy po kolacji naszą sytuację. Były propozycje abyśmy się zgłosili i na wolności, mając broń, przeszli linię frontu. Ale inni, że ten plan nie ma szans, gdyż broni nie dostaniemy, a będą nas używać tylko jako tarczy ochronnej dla osłony wojsk niemieckich, lub będziemy dalej używani do robót wojskowych, a to przecież pomoc dla wroga. Uznaliśmy, że tą drogą wolności nie uzyskamy. Nie przypominam sobie, aby nawet więźniowie Niemcy skorzystali z tego zaproszenia.

"Baukolonna" jeszcze nie skończyła robót na kolei, została jed-

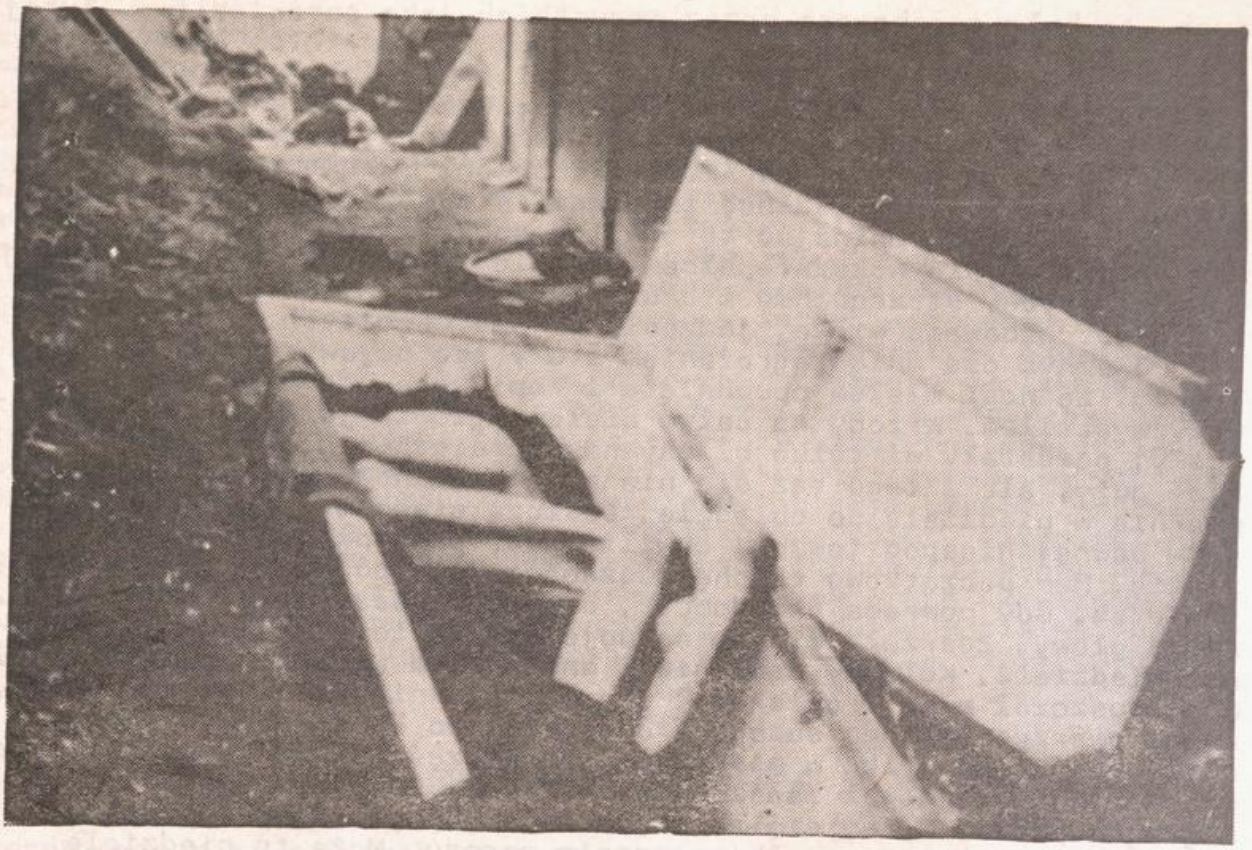

Obóz Reichenau - wejście do rewiru.
Więzień Rosjanin, który z Gablonz przybył do Reichenau, aby pracować w komando Baukolonne długo walczył o życie. Zmarł w pierwszy dzień wolności i będzie pochowany w trumnie, a nie zakopany w worku, jak poprzedni współwięźniowie.

Nr archiwum 3.9.1.31

nak przeznaczona do kopania rowów strzeleckich na wzgórzach sudeckich gór. Wraz z nami chodzili również koledzy pracujący w fabryce, gdyż stan liczebny "baukolonny" bardzo się zmnieszył. Los nasz się nie poprawił, a nawet pogorszył, bo skończyły się "frisztiki". Chodzenie po górach i kopanie rowów, mimo, że było już cieplej, stawało się pracą coraz cięższą. Byliśmy już bardzo wyczerpani. Opłakanie wyglądała nasza kolumna wracająca z robót do obozu. Mimo ponaglań "postów" rozciągaliśmy się w grupki, po kilku. Trochę silniejsi pomagali iść tym, co już iść nie mogli, więc ratowaliśmy się wzajemnie, bo czuliśmy wolność już blisko. Gdy Władek Brudzyński z Warszawy zaczął raz się osuwać, ja też ledwo trzymając się na opuchniętych nogach sam nie mogłem go utrzymać uprosiłem kilku o pomoc. Podnieśliśmy go i, prowadząc pod ręce, doprowadziliśmy i tym razem do obozu. Podczas marszu często robiliśmy zmiany, bo ci, co prowadzili Władka, też ledwo szli. Ale się udało. Jeszcze jeden dzień dla Władka uratowany.

Jak wielką radością dla mnie było, gdy zobaczyłem go w wyzwolonej Warszawie w 1946 roku.

Coraz częściej słyszeliśmy szum motorów w górze, aż ziemia jęczała, na niebie srebrne punkciki setek samolotów lecących na zachód, a później detonacje wybuchających bomb i drżenie ziemi. To był dla nas odwet za Warszawę. Czasami dochodziły do nas jeszcze grzmoty z dalekiej linii frontu. Podczas ewakuacji 8 maja 1945 r. o godz. 2.00 w nocy zarządzono alarm. Więźniowie mają przygotować się do transportu. Wolno zabrać koc. Przygotowują wózki, na które kładzie się chleb. Chorzy pozostają w obozie - za chorego uważany był ten, kto już nie mógł stać na nogach i iść. Zdaje mi się, że było takich trzydziestu. Wcześniej ruszyły auta z komendanturą obozu. Dopiero wtedy zobaczyłem ich zdenerwowanych i pakujących się pośpiesznie. Formowanie transportu trwało kilka godzin. Wreszcie wyruszamy jako pierwsi w kolumnie, za którą więźniowie ciągnęli wózki z chlebem. Otaczają nas żołnierze, ale ze zdziwieniem stwierdzamy, że nie ma wśród nich essesmanów. Pilnują nas tylko wermachtowcy. Dowódcą naszego transportu został esesman, który kiedyś prowadził "baukolonnę" na roboty. Po przejściu bramy ulicami opuszczamy miasteczko i szosą idziemy w nieznane. Jest piękny majowy dzień, ciepło i słonecznie. Nasz konwój wprawdzie otacza więźniów ze wszystkich stron, ale idzie niedbale, karabiny na ramieniu trzymane są często lufą w dół. Nie zwracają uwagi na nierówność szyku. Są jeszcze tylko z armii sojuszniczych w mundurach niemieckich. Marsz urozmaicany różnorodnymi domysłami. Że przekażą nas do dyspozycji Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża, gdyż nie wiedzą, co z nami zrobić. Że wszyscy esesmani uciekli, przebrani w cywilne ubrania, bo ktoś rozpoznał takiego esesmana. Że w nocy uciekła komendantura Gross-Rosen w niewiadomym kierunku, że wermachtu nie musimy się bać, bo nam krzywdy nie zrobią, gdyż sami nie wiedzą, co z sobą robić, a esesmanów jest coraz mniej. Obok mnie szedł więzień, który opowiadał mi o swoich ucieczkach z obozu i jak został złapany. Rozpatrując sprawę ucieczki z transportu, ustaliliśmy, że już nie warto uciekać, bo jeszcze jaki cywilny Niemiec może zbiega zastrzelić, a tak idziemy pod ochroną. Takie i podobne rozmowy prowadząc, doszliśmy do jakiegoś miasteczka. Ulica prowadziła obok szerokiego placu z trawnikami. Kolumna skręciła w lewo w wąską uliczkę, która pnie się ostro w górę pod kątem co najmniej 45^{0}. Po obu stronach szczyty piętrowych domów, szczelnie do siebie przylegających. Kolumnę na końcu zamyka tabor z wózkami. Idziemy bardzo wolno. Nagle u wylotu ulicy widzimy wy-

łaniający się czołg, który lufą spogląda nam w oczy. Transport się zatrzymuje. Wszyscy drętwieją. Oglądam się za siebie, ale wózki taborowe zatarasowały w dole ulicę. Więźniowie jak tragarze z opuszczonymi głowami ciągną je pod górę. Nie ma więc odwrotu. Na boki też nie widzimy ucieczki. Wtedy biegnie do czołgu dowódca naszego transportu. Rozmawia, krzyczy, protestuje, my czekamy w napięciu. Wreszcie otrzymujemy rozkaz cofnięcia się na plac, czołg jeszcze milczy, ale czeka. Schodzimy coraz pośpieszniej i w dole na placu szukamy schronienia. Nasz dowódca transportu wsiada na motor i gdzieś pędzi. Kazano rozłożyć się na trawie i czekać. Ci, co rozumieli język niemiecki i słyszeli rozmowę, przekazali, że właśnie nasz dowódca transportu obronił nas przed zagładą, gdyż w tej uliczce miały przejść po nas czołgi. Powiedział im, że otrzymał inne polecenie dla transportu, i pojechał, aby potwierdzić jeszcze raz rozkaz. I przywiózł. Otrzymaliśmy polecenie powrotu do obozu. Gdy dochodziliśmy do Reichenau witała nas już tylko miejscowa ludność cywilna. Następnego dnia byliśmy wolni, ale wolność wymaga odrębnego opisu.

Pierwsze dni wolności

Koniec wojny. Brama obozu została udekorowana flagami. Przyjeżdżają do obozu władze czeskie. Jest wśród nich ten oficer, który ochronił nasz transport, a przez cały czas życzliwie odnosił się do więźniów"baukolonny". Już w cywilnym ubraniu, z trybuny honorowej ogłasza nam wolność. Dużo radości, owacje. Wolno nam się poruszać, swobodnie wyjść samemu za bramę. Do obozu przyjeżdżają sanitarki, zabierają chorych i muzułmanów. Mnie też chcą zabrać, ale odmawiam. Zgłaszam się do lekarza, mówię, że jestem sanitariuszem, więc mogę im pomagać. Lekarz spojrzał na mnie i podziękował za usługi, której nie przyjął. Prawdopodobnie duchowo wciąż byłem silny, ale fizycznie nie przedstawiałem wielkiej wartości. Pojechał sanitarką Leon Dzierżanowski i wielu, wielu innych. Pojechali też chorzy z rewiru, ale nie wielu doczekało wolności. Znajomy Rosjanin z"baukolonne" i Gablonz już nie żył. Oficerowie radzieccy robili zdjęcia fotograficzne jego zwłok. Był to szkielet powleczony skórą. Wyszedłem za bramę i zobaczyłem oddział czeskich partyzantów. Prosiłem, aby pozwolili przyłączyć się do nich. Szli rozbrajać armię niemiecką. Przez wiele dni szły wojska niemieckie szosą z taborem, a broń musieli pozostawiać w rowach. Myśmy mieli za zadanie sprawdzić, czy wszystką broń z wozów zrzucili. Trudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiło na Niemcach, że ludzie w pasiakach, obok czechosłowackich partyzantów w mundurach, odbierają im broń. Im panom świata, odbiera broń "polnische bandit". Było nas wtedy kilku, pamiętam Bronka Stachórskiego, Janka Kosińskiego i innych. Był też ze mną Jurek Kowalczuk - harcerz z Warszawy. Za wywiązanie się z obowiązku otrzymałem znaczek partyzancki i podziękowanie. Choć jedzenia w obozie było bardzo dużo, gdyż zaraz po wyzwoleniu nie tylko władze miejscowe dostarczały mięso i chleb, ale ludność okoliczna, wiejskie kobiety Czeszki szły z koszyczkami niosąc masło, ser, jajka, co miały najlepszego, aby nas pokrzepić. Ten ich czyn pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Długo widziałem na otaczających wzgórzach te kobiece sylwetki pojedynczo idące w stronę obozu i powracające z pustymi koszyczkami. Dużo życzliwości i troski odczuliśmy ze strony ludności sudeckich gór.

W obozie ruch. Część silniejszych kolegów penetruje barak dowództwa. Szukają papierosów i cenniejszych przedmiotów. Na ziemi

Rzeźba w drzewie wysokości około 20 cm.
Uliczny śpiewak z harmonią przed gazową latarnią.
Inicjały autora "A.P.". Prawdopodobnie autorem tej rzeźby był autor fontanny - syrenki warszawskiej w obozie Aleksander Piekarski.
Rzeźbę tę wdeptaną w ziemię znalazł więzień Henryk Uchman w pierwszy dzień wolności.

Nr archiwum 3.9.1.23

przed blokiem leży mała figurka z drewna. Podnoszą ją. To grajek gra na harmonii pod gazową latarnią. Zatrzymałem sobie na pamiątkę. Autor nie znany, tylko inicjały A.P.

Niektórzy z więźniów mają broń. Dokonano kilku aktów samosądu. Nie pomaga mój sprzeciw. Nikt nie słucha.

Odwiedzają nas towarzysze z obozów pracy. Zapraszają na zabawę. Silniejsi poszli. Ja cieszę się życiem. Cieszy się również Jurek Kowalczuk. Prosi, abym go nie pozostawiał. Chce być ze mną, aby razem wrócić do Warszawy, ja do żony i córeczki, on do matki. Postanowiłem nie rozstawać się z tym miłym chłopcem.

Pewnego dnia przypomniałem sobie, że muszę dotrzeć za miasto, na górę porośniętą lasem. Zawsze na apelu widziałem wysoko ten las i ślubowałem sobie, że jak doczekam wolności, to właśnie pójdę tam ucałować wolną ziemię. Idąc uliczkami widziałem domki willowe z ładnymi ogródkami, a na trawnikach pawie lub dorodny drób. Kilkadziesiąt metrów przede mną szło dwóch więźniów. Widzę, jak otwierają furtkę i wchodzą do ogrodu. Złapali pięknego dużego koguta, zapewne chlubę gospodarzy. Oswojony, nie spodziewał się zamachu. Złapany zaczął piać. Ja pobiegłem za nimi, aby im tego zabronić, ale było już za późno. Kogut miał łepek ukręcony. Zrobiło mi się go żal. Ogarnął mnie wstyd za moich towarzyszy. Zwymyślałem ich, zażądałem, aby zdjęli wstążeczki narodowe ze swoich ubrań, gdyż obaj Polak i Rosjanin przynoszą wstyd swoim krajom. Zrozpaczona gospodyni płacząc tłumaczyła po czesku, że dała by kilka kur za tego koguta, ale było już za późno. Więc wolność przynosi i wstyd..

Przecież w obozie tyle żywności. Jadłem ostrożnie, ostrzegałem też Jurka, aby unikał tłustego jedzenia. W obozie coraz więcej chorych na"durfal". Nawet chodząc jedli, a po nogach spływała wydzielająca się z nich jakaś czarna ciecz, czego widocznie nie czuli. Więc po cóż jeszcze grabić? Różnie pojmują ludzie wolność... Tak rozmyślając szedłem do widzianego celu.

Góra jest wysoka. Ciężko mi było się na nią wdrapywać. Wreszcie stanąłem. Jest las, a na ziemi nagrzanej słońcem - trawa. Upadłem i jak źrebak w niej się 'arzałem. Żyję. Ziemia taka ciepła, taka dobra i miła. Delikatna trawa pieści moją twarz. Jestem szczęśliwy.

Wstałem. Oglądam okolicę. Z prawej strony, w dole miasto, na wprost linia kolejowa przecina dolinę. Jakiś mostek kolejowy, a daleko zabudowania. Domek podobny do dworku Chopinów w Żelazowej Woli. Otynkowany, przed gankiem filary. Z zabudowań wychodzi jakiś człowiek, kiwa ręką, przywołuje mnie, woła. Myślę, że to nie do mnie, ale nikogo poza mną nie ma. Schodzę z góry, człowiek ruchem ponagla, więc to ze mną chce rozmawiać. Okazało się, że jest Polakiem. Pracował u gospodarza i w jego imieniu zaprosił mnie do domu. Gdy przyszedłem, przywitał mnie gospodarz z żoną. Młoda gospodyni przygotowała jedzenie, nakarmili mnie, prosili, abym pozostał u nich w gościnie, gdyż mają wolne pokoje. Obejrzałem je i to mi odpowiadało. Odpoczynek na wsi w nie skrępowanym mieszkaniu, wśród życzliwych ludzi. Ale Jurek? Powiedziałem im o tym chłopcu z Warszawy, że nie mogę jego opuścić. Zgodzili się, abyśmy pobyli u nich razem i nabrali sił do podróży do domu. Przyprowadziłem Jureczka i razem z tymi nowymi przyjaciółmi spędziliśmy kilka dni. Rzeczywiście starania gospodyni dały rezultat, doszliśmy trochę do siebie, nabraliśmy sił, uniknęliśmy może ciężkich chorób. Do obozu chodziliśmy, żeby się dowiedzieć, co dalej mamy robić. W Gablonz w Narodni Vyboru otrzymałem zaświadczenie, że jestem więźniem obozu koncentracyjnego i wszelkie władze zobowiązane są mi pomóc. Również otrzymaliśmy ubrania cywilne - bieliznę,

płaszcz i jesionkę. Jurek dostał kurtkę skórzaną. Mieliśmy już swoje walizki. Spakowaliśmy rzeczy i już tylko pragnęliśmy jechać do Ojczyzny.

Dowiedzieliśmy się, że w Polsce zaczynają chodzić pociągi, trzeba tylko dotrzeć do granicy. Więc podziękowaliśmy naszym gospodarzom za serdeczną gościnę i ruszyliśmy pieszo. Dostaliśmy wózeczek, na który włożyliśmy walizeczki i opuściliśmy gościnny dom. Gospodarze obdarzyli nas na drogę prezentami. Ja dostałem dużo papierosów, a dla żony, córeczki i dla matki oraz obu sióstr drobne upominki, oraz zaproszenie, abym po odnalezieniu żony i dziecka, zaraz do nich wracał na dłuższy odpoczynek.

Podróż mieliśmy bardzo długą i ciężką. Na jednej z kwater zostaliśmy okradzeni przez współwięźniów, m. in. Jopka i Jabłońskiego. Wszystkie upominki dla rodziny, papierosy, a nawet odznaka partyzanta zostały mi skradzione. Dalej podróżowaliśmy rowerami.

W Wałbrzychu mieliśmy przerwę w podróży, bo Jurek dostał gorączki, zachorował i nie mógł już dalej jechać. Co robić? Nikogo nie znaliśmy. Wszedłem do restauracji zapytać o poradę i pomoc, może choć dadzą gorącej herbaty i trochę odpoczniemy. Właścicielka była Niemką. Gdy się dowiedziała, że wracamy z obozu i kolega mój jest chory, zaraz odstąpiła nam mieszkanie. Dała ciepłą pierzynę, zaopiekowała się Jurkiem i mną. Po dwóch dniach ruszyliśmy w stronę Wrocławia. W Świdnicy zamieniliśmy nasze rowery na nowe. Była tych rowerów olbrzymia sterta. Ja wybrałem nową "damkę", z myślą, że będzie dla córeczki, ale pod Wrocławiem"sokista"zabrał mi rower. On miał broń, a ja pragnąłem dojechać do domu, więc oddałem. Od Wrocławia jechaliśmy pociągiem towarowym z transportem maszyn do Związku Radzieckiego. W Opolu pewien więzień, który siedział na brzegu wagonu, utracił obie nogi, gdyż mijał nas inny pociąg, którego wagony mu je ucięły, bo nogi miał opuszczone na zewnątrz.Gdy go zabrali do szpitala, na jego dobytek rzucili się szabrownicy, ale bardzo się oszukali, bo ów więzień miał tylko dwa worki wypełnione ścinkami krawieckimi. Wielkie było ich rozczarowanie, a my żałowaliśmy biedaka, co nie dojechał do domu.

Mijaliśmy transporty repatriantów na ziemie odzyskane. Od jednego dostałem 20 złotych. W Katowicach przesiedliśmy się na pociąg do Warszawy. Niestety za 20 zł nic nie kupiłem dla nas do jedzenia, bo w bufecie dworcowym 15 zł kosztowała paczka zapałek. W poczekalni jakaś kobieta z dużym bagażem kroiła chleb. Prosiłem, aby dała kromkę. Zażądała ode mnie filiżanki, którą wiozłem z sobą dla napicia się wody. Odmówiłem. Przecież ta filiżanka towarzyszyła mi przez całą podróż i była od czeskich przyjaciół. W pociągu z Katowic do Warszawy panował wielki tłok. Koło Częstochowy dostałem zapaści, znowu straciłem przytomność. Miałem podobno drgawki, objawy padaczki. Wreszcie pociąg zatrzymał się na upragnionej stacji Włochy. Z Jureczkiem poszliśmy do mnie, na Jagiellońską, gdyż do Warszawy on już nie miał siły jechać. Byłem znowu w swoim mieszkaniu i wszystkich bliskich zastałem w zdrowiu. Było to w czerwcu 1945 roku.

Gdy powrócił Leon Dzierżanowski po dłuższym pobycie w szpitalu, gdzie czechosłowaccy lekarze i cały personel bardzo troskliwie zaopiekowali się więźniami, opowiedział mi, że wyjeżdżając do Polski wstąpił do obozu jeszcze raz popatrzeć na to miejsce naszej udręki. W bloku drugim więźniami byli esesmani, złapani przez partyzantów czechosłowackich. Gdy im się przedstawił, wprowadzili go do izby i kazali rozpoznawać, który był w załodze obozu. Leon nie rozpoznał żadnego, wobec tego, dla satysfakcji Leona, kazali im tylko przećwiczyć żabkę.

Warszawiacy,byli więźniowie obozu w Reichenau, pamiętają o swoich współtowarzyszach, którym nie dane było dożyć wolności. Odwiedzają Reichenau. Z miejsca,gdzie grzebano zwłoki więźniów Polaków,pobrano prochy ziemi i złożono je do urny w Mauzoleum Walki i Męczeństwa przy Al. Szucha w Warszawie, i w Palmirach.

Na zawsze byli więźniowie zachowają też w pamięci serdeczną pamięć i troskliwość, jaką im okazał naród czeski w pierwszych dniach wolności.

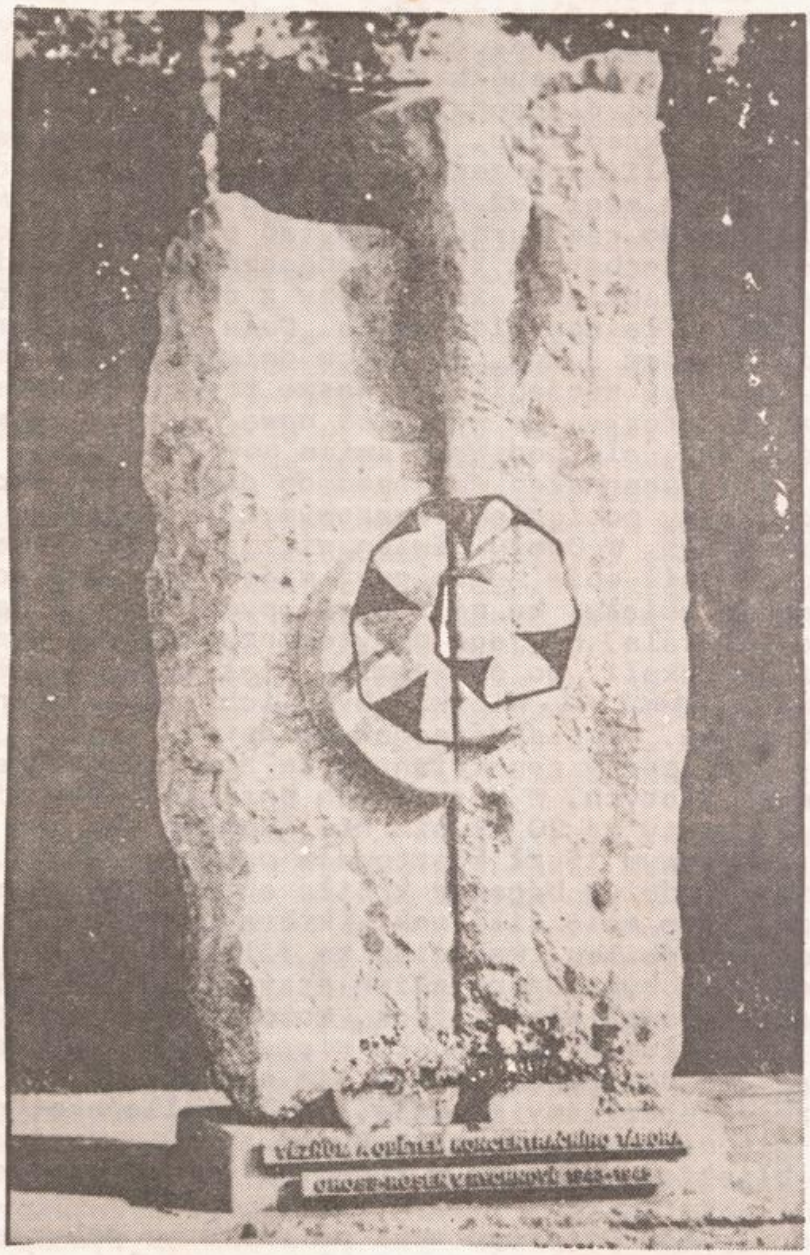

Ten pomnik, wzniesiony przez władze i społeczeństwo miasta Rychnov, upamiętnia katownię hitlerowską Gross-Rosen, podobóz w Reichenau

Nr archiwum 3.9.2.8

Kazimierz Ptaszyński
P-2799

OSTATNIE DNI NA PAWIAKU - OBÓZ KONCENTRACYJNY

W dniu 4-tym lipca 1944 r. Niemcy wyprowadzili z Oddziałów V i VI wszystkich więźniów Pawiaka, zbieranych na podwórzu więziennym, celem ostatecznego ustalenia składu transportu. Obserwowaliśmy to z okien dużej celi "roboczej" IV Oddziału. W pewnym momencie usłyszałem z podwórza swoje nazwisko. Odetchnąłem z ulgę. /Nie wiedziałem, co to znaczy hitlerowski obóz koncentracyjny/. Jechałem "w transport". Za chwilę przyszedł Niemiec na Oddział IV i zabrał mnie z celi na podwórze. Znalazłem się w kilkaset osobowej grupie więźniów. Przywitałem się z panem Kazimierzem Jordanem, który był więziony na innym oddziale, i z Gieńkiem Majkowskim. Po definitywnym ustaleniu składu transportu zaprowadzono nas na V Oddział, gdzie znalazłem się w celi z panem Jordanem i Gieńkiem.

Po kolacji wszyscy więźniowie celi we wspólnej modlitwie podziękowali Bogu Wszechmocnemu za łaskę przeżycia Pawiaka i prosili o dalszą opiekę w mających nastąpić kolejnych trudnych dniach - przedłużającej się w nieskończoność wojny.

Po północy, a był to dzień piąty lipca 1944 r. - Filomeny, dzień imienin mojej Matki, przyszli na oddział Niemcy i Ukraińcy z obsługi Pawiaka i jacyś cywile, być może z Gestapo z Alei Szucha, by nas związać. Każdy z nas ubrał się w to co miał. Wszystko co mieliśmy: chleb, coś do chleba, jakiś ręcznik, szczoteczkę do zębów, papierosy, kubek, manierkę - włożyliśmy do woreczków i zawiesiliśmy sobie na szyjach. Niemcy związali nam ręce złożone na plecach mocnym kawałkiem sznurka. W oczekiwaniu na wywiezienie z Pawiaka każdy usiadł jak mógł i gdzie mógł. Po dwóch, trzech, czy czterech godzinach, gdy nastał świt przyjechało na Pawiak kilka samochodów, którymi zostaliśmy przewiezieni na ówczesny dworzec towarowy przy ul. Towarowej. Zostaliśmy umieszczeni i zamknięci w wagonach towarowych po kilkudziesięciu więźniów. W wagonie zdołaliśmy się wzajemnie uwolnić ze sznurków krępujących nam ręce. W wagonach robiło się coraz duszniej.

Wagony zamknięto i pociąg ruszył w drogę. W naszym wagonie było o połowę więcej ludzi i bardzo wielu z nas musiało stać do końca podróży. W końcu przybyliśmy na miejsce. Była godzina może 5-ta, a może 6-ta. Dokuczało nam straszne pragnienie. Gieniek dał mi szczyptę jakichś kryształków, które na krótko zaspokoiły moje pragnienie zwyczajnej, ziemskiej, czystej wody. Staliśmy i czekaliśmy, aż ktoś się nami zainteresuje i zacznie coś z nami robić. W końcu wagony otworzono i kazano nam wyjść. Znaleźliśmy się na małej stacji otoczeni strażą obozową. Kilku strażników miało psy owczarki. Pies - przyjaciel człowieka - był naszym wielkim wrogiem. Rozpoczęto sprawdzanie stanu więźniów. Każdy, którego nazwisko i imię wyczytano, przechodził w ustalone miejsce. Sformowano chyba dwanaście grup po 50 więźniów w każdej grupie. Do każdej grupy kolegów podchodził ten, który wyczytywał nasze nazwiska i wyczytawszy trzy, cztery lub pięć nazwisk zapytywał, czy tych ludzi nie ma w naszej grupie. Ci wyczytani to byli uciekinierzy w nocy z transportu.

Otoczeni strażnikami ruszyliśmy do obozu. Teren był pagórkowaty i podmokły, lub może w nocy spadł tu deszcz, bo rowami przydrożnymi płynęła woda. Była brudna i zwyczajna, lecz niektórzy z nas

podbiegli do rowów i zaczerpnąwszy trochę tej wody menażką lub kubkiem pili ją, gdyż nie wytrzymywali bez wody. Po 40-50 minutach marszu otworzono przed nami bramę hitlerowskiego obozu koncentracyjnego - GROSS-ROSEN.

Weszliśmy w głąb obozu. Zatrzymano nas na jakiejś szerokiej "Lagerstrasse". W obozie panował absolutny spokój, cisza, czystość. Dzień był 6-ty lipca 1944 r., godzina 8-9-ta. Dzień piękny, słoneczny, gorący. - Z krzyża, którego nigdzie nie było, patrzał na nas Chrystus.

Kazano nam oddać wszystko co mamy. Jedni więźniowie z obsługi obozu /już w pasiakach/ zbierali do worków jedzenie, inni mydło, inni naczynia, menażki, garnki i manierki, inni ręczniki i bieliznę zapasową.

Przyszedł jakiś SS-man, wyczytał kilkanaście lub dwadzieścia kilka nazwisk i zabrał gdzieś naszych kolegów, pewnie do krematorium - skąd nie wrócili i nikt ich więcej nie widział. Do nas przystąpili inni ludzie i uczynili nas numerami. Stałem się numerem 2799.

Pierwszy raz od 40 godzin zaspokoiłem pragnienie. Wyszedłem z łaźni. Na mojej szyi na cienkim sznurku wisiała blaszka z wybitym numerem 2799. Dostałem koszulę, kalesony, jakieś kiedyś czyjeś spodnie z wymalowanymi czerwoną olejną farbą "lampasami" i jakąś kiedyś czyjąś marynarkę z wymalowanym na plecach farbą olejną czerwonym krzyżem oraz drewniaki. Byłem sobą 2799. Trwał dzień 6 lipca 1944 roku. Była godzina 16-ta lub może 18-ta. Kazano nam iść na jakiś blok. Było już nas tam wielu. Trudno było kogoś rozpoznać. Blokowy lub "sztubowy" krzyknął: "Dwudziestu na ochotnika do mnie". Przeczuwałem, że każda chwila opóźnienia może spowodować bicie. Dlatego odrazu poszedłem do blokowego. Dwójkami zaprowadził nas do kuchni. Wzięliśmy wskazane kotły z zupą i wracaliśmy do bloku. Dla nikogo marsz ten nie był łatwy. Po raz pierwszy szliśmy w drewniakach. Andrzejowi Roszczyńskiemu ta pierwsza nasza próba wypadła fatalnie. Przewrócił się. Wszystka zupa z niesionego kotła wylała się. Wściekły blokowy kopnął strasznie Andrzeja w brzuch. Nie pamiętam, czy przyniesiono z kuchni nowy kocioł zupy. Pamiętam, że ta pierwsza wysiorpana menażka zupy obozowej, pierwsze jakieś ciepłe jedzenie - po 40 godzinach bardzo różnych, a przeważnie ciężkich przeżyć, bardzo mi smakowała. W zupie tej było nie wiem co - na pewno były liście szpinaku. Może jeszcze liście jakiejś innej rośliny. To był spóźniony obiad, bo na kolację tego pierwszego dnia otrzymaliśmy jeszcze po kawałku chleba i cząstce cebuli.

Na apelu wieczornym - jak tyle razy później - staliśmy piątkami. Jeden z kolegów ciężko pobity w nocy zemdlał. Trzeba go było trzymać w pozycji pionowej, aby był widoczny przez liczącego nas SS-mana. Gdyż: "Ordnung muss sein" /porządek musi być/.

Nastąpiła chwila przerwy w tym zdawaniu, przyjmowaniu, liczeniu, strzyżeniu, myciu, czekaniu, staniu i jedzeniu. Każdy mógł się zastanowić nad tym, co się stało, kim jest, gdzie jest i po co jest, i co może być dalej. Jestem 2799. Moją "legitymacją" jest żelazna blaszka z tym numerem. Muszę się stawić przed każdym, kto ten numer wypowie po polsku lub po niemiecku. Jestem w niemieckim hitlerowskim obozie koncentracyjnym o nazwie Gross-Rosen. Teren ten znajduje się w miejscu bliżej nieokreślonym. Jestem bardzo daleko od Warszawy i od Rodziny. Tutaj znam bliżej pana Jordana i Gieńka, ale trudno nam się znaleźć w liczbie około 600 osób. Wokół są inne baraki. W każdym pewnie również po kilkaset mężczyzn. Blokiem rządzi człowiek, który kopie, bije grubym me-

trowym kijem. Po obozie łażą SS-mani. Obóz otoczony jest podwójnym płotem z drutu kolczastego na izolatorach. Druty są pod prądem. Co kilkadziesiąt metrów za płotem stoi wieża wartownicza. Nad wieżą umieszczony jest ruchomy reflektor. Na słupach ogrodzenia jest wiele lamp elektrycznych.

Czy jest stąd jakieś wyjście? Czy ja stąd kiedyś wyjdę? Czy rzeczywiście jedynym stąd wyjściem jest wyjście przez komin w postaci dymu?

A gdy wchodziliśmy do obozu - z wysokiego komina rzeczywiście wydobywały się kłęby dymu. Kogoś palono. Czy tylko jednego? Ilu? A ci, których dzisiaj zabrano bezpośrednio z naszego transportu? Gdzie są, i czy ten dym, który snuje się po niebie, to nie z ich ciał?

Z ulgą opuszczałem Pawiak, ale gdzie jestem w tej chwili?

"Schlafen"! Spać!. Na rozkaz blokowego kilku ludzi rozkłada na całej podłodze dużej sali sienniki, które leżały w kilku stosach w kącie sali. Kiedyś w siennikach tych była pewnie słoma. Dzisiaj jest tylko sieczka.

"Schlafen!". Każdy kładzie się gdzie może. Głowy-nogi, nogi-głowy, głowy-nogi. Nie mam się gdzie położyć. Ostatecznie kładę się między głowami kolegów. Kończy się pierwszy dzień w obozie. Kończy się natychmiast. Zasypiam. Budzi mnie i innych jakiś krzyk. Ktoś chce wyjść z bloku przez okno. Inni go zatrzymują. Biedak odzyskuje świadomość i kładzie się wśród kolegów. Zasypiamy.

"Aufstehen!". Wstawać! Jest dzień 7 lipca 1944 r. Coś się działo. Działo się wiele. Lecz ja pamiętam badanie lekarskie. Zaraz po śniadaniu zaprowadzono nas na jakiś większy plac. Kazano nam rozsunąć się swobodnie i rozebrać do naga. Ubranie leżało złożone przed każdym z nas. Przyszedł stary więzień, starszy już człowiek - Niemiec, dentysta lub technik dentystyczny i określił stan zębów każdego z nas, co zostało zapisane przez pisarza, który z nim chodził. Nie rozumiałem tego co mówił. Być może, że zwracał szczególną uwagę na sztuczne, złote zęby, jeżeli ktoś z nas takie miał. Na podkreślenie zasługuje fakt, że swoje cztery palce włożył kolejno do ust sześciuset mężczyzn. Opisywanie stanu naszego uzębienia trwało przy każdym z nas około 8-10 sekund. Badanie to trwało około 2 godzin. Następnie ustawiono nas w olbrzymią kolejkę do drugiego badania. Polegało ono na tym, że każdy musiał wejść, a raczej został wepchnięty dla pośpiechu, do pokoju, w którym za stołem siedziało kilku Niemców. Dwóch więźniów funkcyjnych chwytało nas za ręce i pokazywało Niemcom z przodu, następnie byliśmy momentalnie odwracani i pokazywani Niemcom od tyłu, i następnie przez drugie drzwi byliśmy wypychani z pokoju. Jedyne słowa, które usłyszałem w czasie tego "badania", był mój numer. "Badanie" trwało 6 sekund. W ciągu około półtorej godziny uznano sześciuset mężczyzn za zdolnych lub niezdolnych do pracy. Co się stało z mężczyznami, którzy zamiast ręki lub nogi mieli protezy? A tacy ludzie byli wśród nas.

Po "badaniach" wróciliśmy na blok. Ponieważ było trochę czasu, blokowy pouczył nas, co nam wolno a czego nie wolno. Każde niemal zdanie kończyło się ostrzeżeniem, że wyjdziemy "przez komin". Po kilku takich zwrotach jeden z nas powiedział: "Nie straszcie nas. myśmy przyjechali z Pawiaka". Przeraziłem się na myśl o tym, co może nastąpić, ale blokowemu widocznie nie chciało się w tym momencie nikogo bić i niebezpieczeństwo minęło.

Obiad, czyli menażka zupy minęła.

Zaraz po obiedzie przybiegł na blok goniec i wyczytał kilka numerów. Usłyszałem 2799. I następnie znowu kilka numerów. Zapro-

wadzono nas dwójkami do kancelarii. Jakiś cywil pokazywał nam kolejno książkę z częściami radiowymi. Niemiec pokazał mi symbol transformatora i dławika, co określiłem prawidłowo. Niemiec o coś mnie jeszcze spytał, lecz nie zrozumiałem o co mu chodzi. Mimo to powiedział "Gut". Mnie i kolegów uznanych za nadających się do jakiejś - wtedy nam jeszcze nieznanej - pracy kazano zdjąć ubrania cywilne pomalowane czerwoną farbą i dano nam pasiaki i pasiaste czapki. Fryzjer golił nam kolejno przez środek głowy, od czoła do karku, 2-3 centymetrową "ścieżkę", abyśmy byli znaczni w przypadku ucieczki.

Moja pasiasta marynarka okazała się dla mnie trochę za szczupła, ale nie śmiałem prosić o większą i dobrze się stało, bo już po kilku tygodniach pobytu w obozie marynarka była za luźna.

Fryzjer wygolił mi ścieżkę na głowie. Po kilku minutach, wszyscy byliśmy naznaczeni i gotowi. Do czego?

Na następnym wyczytaniu naszych numerów i sprawdzeniu ich z blachami, które mieliśmy na szyjach, kazano nam wsiąść na duży odkryty samochód ciężarowy, na którym już było kilku wartowników i odjechaliśmy. Było nas około 35-ciu. Kazano nam siedzieć na dnie samochodu. Nie było miejsca, więc musieliśmy trzymać nogi na nogach kolegów, lub oni trzymali swoje nogi na naszych.

Nie wiedząc gdzie idę i po co oraz na skutek zamieszania na bloku nie pożegnałem się z panem Jordanem ani z Gieńkiem. Ale czy to ważne, konieczne, wskazane, potrzebne? Przecież jestem 2799. Oni też są jakimiś numerami. Nikt nas nie uznaje, tylko liczy. Nie ważne, czy w tym numerze jeszcze bije serce. Ważne, że trzeba się z niego rozliczyć. Numer nie musi się żegnać z numerem.

W tyle za samochodem pozostały kolczaste druty obozu Gross-Rosen. Jest piękny, słoneczny dzień, piękna okolica, dobra szosa. Ale na rogach samochodu siedzi czterech Niemców i nogi zaczynają nam drętwieć. Co chwila trzeba jakoś zmieniać pozycję. Dokąd jedziemy? Wyraźny jedynie kierunek zachodni, choć droga skręca co chwila na prawo lub na lewo i znów na prawo. Waldenberg /Wałbrzych/. Krótki postój i jazda dalej! Po pewnym czasie Hirschberg. Ulice, uliczki, jakich się już dawno nie widziało. Dużo normalnych ludzi, ale mówiących po niemiecku. Samochód pnie się dość długo pod górę. Następnie wyraźnie i dość długo zjeżdżamy w dół. Jakieś miasta i miasteczka, jakiś wiadukt i jakiś duży budynek fabryczny i zatrzymujemy się. Kilka baraków znowu ogrodzonych drutem kolczastym na izolatorach. Wysiadać! Stawać po dwóch. Wchodzić! Jakiś drab w pasiaku wybiega i staje przed furtką. Spadają na nas pierwsze ciosy i wrzask draba: "to nie idzie być lepiej". Biegniemy. Ciosy otrzymali kolega przede mną i kolega za mną. Ja tym razem miałem szczęście. Lagerälteste - bo to on był właśnie - wpada za nami z krzykiem: "ja was napierdola". Liczy nas, bije i tarmosi i przekazuje Bernardowi na I blok z rozkazem "Schlafen". Jestem przerażony. Miałem nadzieję, że jedziemy do pracy. Przywitano nas ochydnym ordynarnym biciem. Jestem w jakiejś nędznej dziurze w łapach bandytów, mimo, że tak jak i ja są w pasiakach.

Blokowy Bernard zabiera nas na blok. Każe się rozebrać, ubranie położyć na ławce, buty-drewniaki pod ławką i wskazuje jakieś wolne łóżko w sypialni. Łóżko jest na "parterze". Nade mną jeszcze dwa inne łóżka. Widzę niewiele, bo zapada zmrok. Zasypiam. Budzi mnie kolega, który wrócił z drugiej zmiany i do którego to łóżko należy. Nie bardzo wiedząc, gdzie jestem, kładę się na innym łóżku obok jakiegoś muzułmanina i zasypiam.

"Aufstehen! Wstawać! Schneller! Szybko! Szybciej! Raus! Weg! Du faule Hund! Wy gnojki! Myć się! Sprzątać! Zamiatać! Ruszać się!"

Wpada Lagerälteste. "Co to jest?! To nie może być szybciej! Bernard! Ja was wszystkich napierdola!". Bernard wścieka się i bije wszystkich, którzy mu wejdą pod łapę. A ma ją straszną.

Barak-Waschraum jeszcze nie gotowy, mimo, że jest lipiec, a obóz organizowany od marca. Kolejka więźniów, w tym większość "muzułmanów" do jednego kranu. Nie ma ani mydła, ani ręczników. Mycie to fikcja, której trzeba dokonać, żeby się nazywało, że jest to mycie. Lecz raczej jest to okazja do bezmyślnego ćwiczenia i maltretowania więźniów.

Nareszcie chwila jakiegoś pozornego spokoju. "Śniadanie": kawałek chleba, odrobina margaryny, odrobina marmelady i lurowata kawa zbożowa, ale na szczęście gorąca. Odczuwam w dalszym ciągu wzmożone pragnienie. Wczoraj w czasie drogi z Gross-Rosen do tej zapadłej dziury znowu nie dano nam nic do picia.

Jestem na komandzie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Richenau bei Gablonz /Richnov koło Jablonca/, Sudety, Czechosłowacja.

"Antreten! Wychodzić! Apel". Ustawiamy się przed blokiem piątkami. Bernard każe zapinać wszystkie guziki. Biada temu, komu brak guzika. Pierwszy apel w Richenau. Naprzeciw nas stoi II blok. Trzeci blok jest w budowie. Jest nas wszystkich Häftlingów około 400-450. Na teren obozu wchodzi Kommandounterscharführer Braun. Wysoki drab. Zamiast twarzy ma straszną maskę. Patrzy gdzieś ponad naszymi głowami. Pada komenda Lagerälteste: "Das Ganze Stillstand! Mützen ab"! "Całość baczność! Czapki zdjąć!". Blokowi meldują stany swoich bloków. Braun liczy i sprawdza. Koniec tego apelu. "Mützen auf!". Czapki włóż! Więźniowie obu bloków mieszają się i ustawiają w komanda robocze. My "Zugangi"-"nowo przybyli" nie wiemy co ze sobą zrobić.

Po odejściu komand do pracy - nas prowadzi jakiś "Vorarbeiter" do baraku na I piętro lub raczej wysoki parter, do działu elektrycznego. Daje nam jakieś pudełka z przewodami elektrycznymi i każe te przewody w kilku punktach zlutować kolbami elektrycznymi. I-szy dzień pracy od ośmiu miesięcy - od dnia aresztowania w dniu 11.XI. 1943 r. Druty zlutowane, czas się wlecze, chodzić nie wolno, wszyscy na nas patrzą ciekawie - czekają nowych wiadomości z dalekich stron. W obozie są Rosjanie, Francuzi, Belgowie, Niemcy, Czesi, Jugosłowianie, Włosi, jeden Norweg i najwięcej nas Polaków. Po długim oczekiwaniu przychodzi do naszej grupy Norweg Loewland /nie budził mojego zaufania/, aby sprawdzić nasze lutowanie. Nie bardzo mu się ono podobało, ale uznał je widocznie za dostateczne, bo między innymi je miałem zostać i zostałem w dziale elektrycznym.

Przed aresztowaniem w dniu 11.XI.1943 r. w okresie od czerwca 1941 r. pracowałem w zakładach "Philips" w Warszawie przy ul. Karolkowej, gdzie dostałem się dzięki bratu Edwardowi. Na szczęście nie załatwił mi pracy "umysłowej", mimo, że właśnie w czerwcu, w ramach tajnego nauczania, uzyskałem maturę - czym właściwie w czasie okupacji nie mogłem się chwalić - ale właśnie załatwił mi pracę w laboratorium badań naukowych u "Philipsa", jako pracownik fizyczny. Kierownikiem, a często i robotnikiem, tego laboratorium był pan profesor dr Andrzej Sołtan, który badał zjawiska zachodzące w próżni, a szczególnie chodziło o rozbicie atomu. Nad tym zagadnieniem pan prof. Andrzej Sołtan pracował zapewne lub na pewno bez żadnych wyników do chwili wybuchu Powstania Warszawskiego. W czasie mojej tam pracy laboratorium się rozrosło i ja przeszedłem do pracy do pana prof. Jellonka, późniejszego profesora Politechniki Wrocławskiej. Nauczyłem się trochę mechanicznego i elektrycznego łączenia elementów radiowych w całość i nawet szło mi to dość dobrze. Pan profesor Jellonek wyrażał mi swoje zadowolenie z mojej

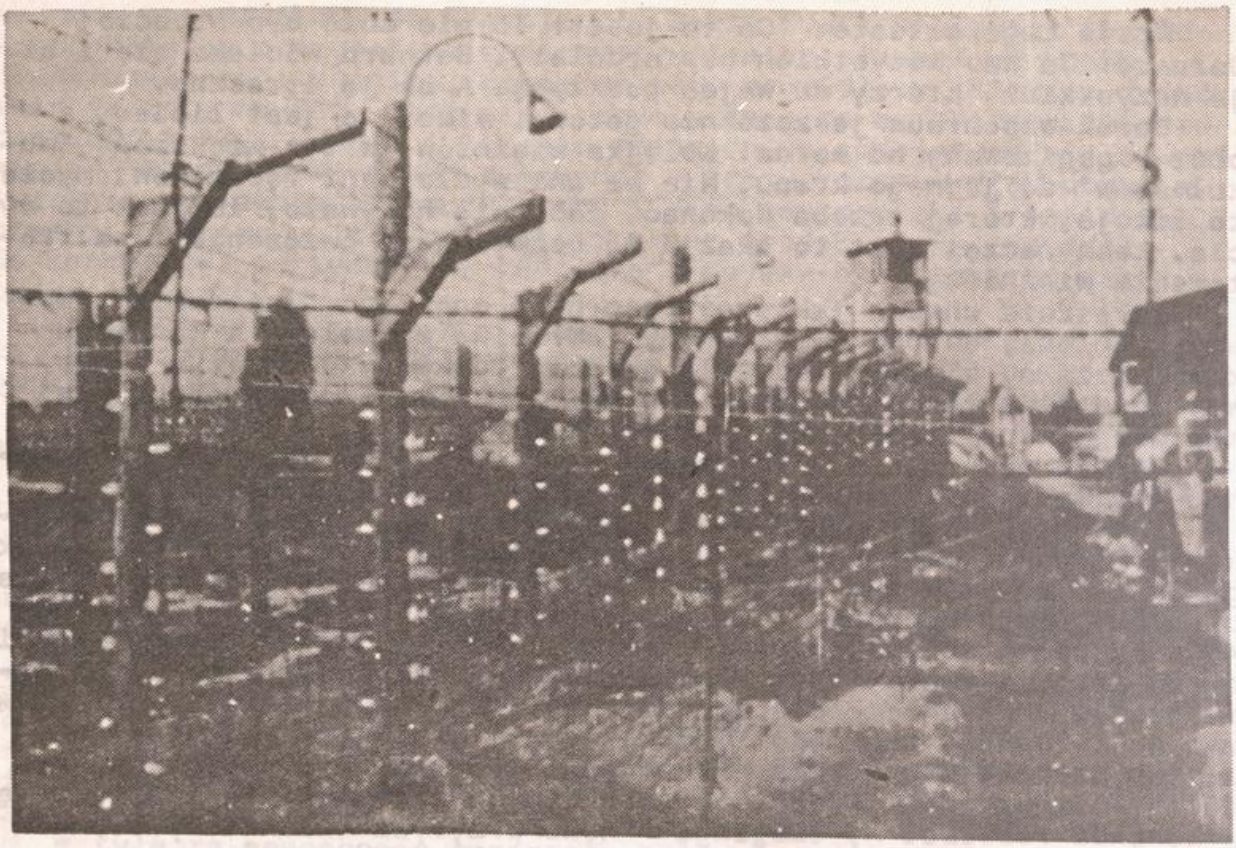

Reichenau - fragment ogrodzenia obozu

Nr archiwum 3.9.1.21

pracy. Między innymi pan Profesor pracował nad budową diatermii dla potrzeb medycyny. Dzięki tej pracy - po przewiezieniu mnie do Gross-Rosen podałem, że jestem radiomonterem - zawieziono mnie do Reichenau a nie gdzie indziej i chyba tylko dzięki temu żyję.

O godzinie 12-tej lub 13-tej nastąpiła przerwa w pracy na obiad. Wszyscy powracali na swój blok. Na bloku I-szym było nas więcej niż było miejsc w sypialni i miejsc przy stołach. Nie byłem głodny, lecz w dalszym ciągu bardzo chciało mi się pić. Zupa mi nie smakowała, więc po kilku łyżkach oddałem ją jakiemuś wychudzonemu "häftlingowi" z "baukolonny", który z wdzięcznością ją przyjął i zaczął szybko jeść. Mnie było duszno w bloku, więc skierowałem się do drzwi, aby wyjść przed blok. Zza swojego stołu wstał blokowy Bernard i skinął na mnie palcem. Gdy się zbliżyłem syknął: "Kto ci pozwolił wychodzić z bloku?". Zrozumiałem, że popełniłem straszne przestępstwo. Chciałem coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, choć to i tak nic by mi nie pomogło. Bernard tak okropnie uderzył mnie w twarz, że omal nie upadłem. Stanąłem prosto, lecz sufit bloku jakoś krążył nade mną, a przed oczami przesuwały mi się kolorowe płatki. Byłem przerażony tym, co może nastąpić dalej, lecz widocznie sam blokowy uznał, że dał mi dostateczną nauczkę, bo tylko wrzasnął: "Wynoś się"! i wrócił do swojego stołu.

Wyszedłem i usiadłem na schodkach prowadzących do "Waschraumu". W głowie mi szumiało. Lewa połowa twarzy i szczęka bolały. Policzek piekł.

Muszę się zastanowić, czy blokowy uderzył mnie w twarz. Bo jeśli uderzył mnie w twarz, to należało zareagować. Ale zareagować na uderzenie w twarz w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, to znaczyło być za chwilę zamordowanym przez blokowego lub nawet przez Brauna. A ja chciałem żyć i przeżyć to drugie po Pawiaku piekło. A po co przeżyć? Wszystko jedno po co. Najważniejsze przeżyć. Więc nie mogę zareagować. Więc nie mam twarzy. A co mam? A co ma numer 2799? Nic! Więc ja też nic nie mam. Jestem niczym. Numerem! I tylko jedno jest ważne. Przeżyć! Wróciliśmy do pracy. I tak już miało być od rana do południa - czyli do obiadu i od obiadu do kolacji i aby noc jak najdłużej trwała i znów Antretten! Wstawać! Schnell! Schneller! Los! Ruk-Cug! To nie może być lepiej. Ja was napierdolą! Mützen ab! Mützen auf! Schnell! Ich will euch verraten. I tak dzień po dniu.

Po kolacji, której już nikomu nie oddałem, Bernard wrzasnął: "Entläusung"! Spojrzałem na kolegów. Zaczęli się rozbierać. Aby nie podpaść znowu, rozebrałem się również. "Entläusung" to odwszawianie - szukanie wszy. Należy w szwach koszuli szukać wszy, lub ich larw. Skąd mogę mieć wszy, kiedy ich nigdy nie miałem, tę bieliznę, którą mam, otrzymałem kilka dni temu w Gross-Rosen? Wszy nie znalazłem, lecz znalazłem wiele larw. Wtedy 1-szego dnia ze wstrętem, lecz później już bez żadnych dodatkowych zbędnych wrażeń, zacząłem zabijać larwy, zgniatając je poznogciami. Koszulę oczyszczoną od wszy należało pokazać komisji, która skrupulatnie zbadała, czy w szwach nie ukryło się "zwierzę". Biada temu, u którego w koszuli znaleziono po "entläusung" wszę albo larwę. Zapisywano jego numer a blokowy lub sztubowy znęcali się nad biedakiem za to, że otrzymał zawszoną koszulę. Wszystkie koszule były zawszone przez niedokładne pranie.

Schlafen! Spać! Ruck-zug! /Były to dwa słówka Bernarda/. Należało się spieszyć. Wszystkie łóżka zostały zajęte. Pozostało nas kilkunastu bez miejsca w sypialni. Do czasu oddania trzeciego blo-

ku musieliśmy spać po dwóch. Mnie blokowy kazał zająć miejsce obok jakiegoś Rosjanina na "trzecim piętrze". Rosjanin przyjął mnie chętnie. Stale powtarzał, że "pouczę paczkę", co znaczyło, że otrzymam na pewno paczkę i zapewne liczył na to, że o nim nie zapomnę. Mój rosyjski kolega przeliczył się, bo nie otrzymałem paczki. Wprawdzie Rodzina w Warszawie otrzymała moją jedną, pierwszą kartę z Reichenau, że "jestem zdrowy i powodzi mi się dobrze" oraz, że wolno wysyłać mi paczki, ale w dniu 1 sierpnia 1944 r., czyli w 26 dni po naszym wyjeździe z Pawiaka, wybuchło w Warszawie Powstanie i z tym momentem przestały istnieć warunki do wysłania mi jakiejkolwiek paczki. Wszelkie nadzieje ustąpić musiały beznadziejnej rzeczywistości. W tej chwili ważne było, że zbliża się noc, że leżę na jakimś wyrku, wprawdzie nie sam, ale z dość czystym, jak na warunki obozowe towarzyszem niedoli i, że jutro będzie na śniadanie gorący płyn. W dalszym ciągu odczuwałem szalone pragnienie. Rosjanin stale powtarzał, że "pouczę paczkę", lecz ja byłem dziwnie zmęczony - zapewne miał na to wpływ bardzo ostry klimat - i zasnąłem.

Gong przy Schreibstubie na II bloku i po chwili wołanie Nachtwachy "Aufstehen! Wstawać! Myć się! Sprzątać! Sauber machen!". Jakiś drab zatrzymuje mnie i trzech innych Zugangów w przedpokoiku bloku i każe zanieść olbrzymi kibel pełen moczu oddanego przez cały blok w ciągu nocy i wylać go w obozowym ustępie. Od żadnej pracy nie może być w obozie wykrętów, więc dźwigamy ten kibel nieczystości po stromych schodkach i wylewamy gdzie należy. Niestety mydła nie ma aby przynajmniej po tej pracy przyzwoicie umyć ręce. Myję się więc samą wodą, wycieram we własną marynarkę i wracam na blok. Na placu spelowym łapie mnie blokowy z II bloku i mówi: "Bieri tragi i do kuchni po śniadanie!".

- "Co to są tragi?".

- "Ty pieronie, ja cię zaraz nauczę". Dostaję umiarkowanie w twarz. /Czy numer ma twarz?/.

Dwójkami - "post" na początku oddziału i na końcu - idziemy do kuchni znajdującej się poza obozem po śniadanie. Przynosimy termosy, margarynę, chleb i marmeladę. To wszystko dzielone jest na dwa bloki. Po raz pierwszy i ostatni w kotłach jest bardzo dobra- bo gorąca, jakaś trochę z mlekiem rozgotowana manna. Za jeszcze jedną porcję tej zupy oddaję swój chleb, ale już jest: "Antretten".

Ustawiamy się pod blokiem do apelu porannego. "Lagerälteste" w czystym, nowym pasiaku wymyśla nam od chacharów. Za furtką ukazuje się Braun, więc "Lagerälteste" krzyczy: "Das Ganze Still Stand. Mützen ab!" i melduje Unterscharführerowi obóz do apelu. Blokowi melduja bloki. Wszystko się zgadza. Wszyscy są. I "zugangi" i "muzułmanie" i "szarża" w czystych pasiakach.

- Śpiewać! Wrzeszczy "Lagerälteste".

To bardzo interesujące. Tego jeszcze nie słyszałem. Ktoś intonuje: "Willkommen frohe Sänger!". Cały obóz za wyjątkiem nas "zugangów", którzy jeszcze nie znamy słów piosenki, śpiewa.

Jest niedziela, dzień 9 lipca 1944 r. Piękny poranek letni. Na placu apelowym stoi około 400 numerów. Połowa z tego to "muzułmanie", którzy natychmiast winni znaleźć się w szpitalu, gdzie może po trzech lub czterech tygodniach jak najbardziej troskliwej opieki stali by się ludźmi. Tutaj ledwie stoją, a za chwilę będą musieli wziąć łopaty, kilofy, uchwycić w swoje jakby kościotrupie ręce, obciągnięte czymś, co kiedyś nazywało się ciałem, taczki i powlec się do pracy...

Ci ludzie, to numery - muszą śpiewać:
"Przybywajcie weseli śpiewacy"
"Będziecie tysiąckrotnie pozdrowieni"
"My śpiewamy wesołe piosenki"
La la la - la la la - la la la - la la la la -
La la la - la la la la -
-"Źle śpiewacie! ja was napierdola!" Wrzeszczy "lagerälteste". "Po obiedzie wszyscy uczyć się śpiewać. Mützen ab, Mützen auf, będzie Szport. Zugangi będę sam uczył! Do roboty!"

Jest niedziela. Pracujemy do południa. Po południu jest czas niby wolny, ale już zapowiedział "lagerälteste co nas czeka. Idziemy do pracy - jakoś czas mija.

Po obiedzie:

Antreten! Wychodzić! Ustawiać się!

- "Źle zdejmujecie czapki, źle wkładacie czapki! Ćwiczyć! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf! To nie idzie być lepiej! Ja was napierdola! Bernard! Czego stoisz jak oni źle ćwiczą!".

Bernard bije na prawo i lewo!

- "Zugangi" zostają! Wszyscy raus! W szeregu zbiórka! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf!"

-"Źle! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Czołgać się!"

Rano był piękny poranek, ostre powietrze górskie, rosa - teraz jest upalny dzień - czołgamy się w tumanach kurzu! W oczach piasek, w gardle piasek, w nosie piasek. Doczołgaliśmy się do końca placu apelowego...

"Rollen! rollen! rollen! z powrotem! Aufstehen! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf!"

- Gdzie masz guzik!
- Musiał mi się oderwać przy czołganiu!
- Głupie tłumaczenie.

Znów dostałem w twarz. A czy numer ma twarz czy mordę?

- Gdzie masz numer?
- Chcę pokazać numer żelazny, który mam na szyi.
- Pytam o numer na marynarce?
- Przyjechałem wczoraj...
- Kłamiesz, przyjechałeś przedwczoraj.

Było już po apelu...

Znów dostałem w mordę! A czy ja mam mordę czy twarz?

Podobne szykany spotykają kolegów. Od bicia mamy czerwone mordy. Na szczęście jeszcze w obozie na długo przed jego wyzwoleniem okaże się, że wszyscy, nawet kompletni muzułmanie, mamy twarze - ale o tym we właściwej chwili. Teraz od początku: Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf! To nie może być lepiej? Ja was napierdola! Padnij! Powstań! Czołgać się! Aufstehen!

Wyglądacie jak świnie! Coście zrobili z nowymi ubraniami? Co to jest?!

Blokowy wskazuje na rozerwaną marynarkę. Zrezygnowany kolega nie odpowiada. W każdym wypadku dostaje w twarz.

Raus! Do "waschraumu"! Myć się! Oczyścić ubrania! Co nam zrobiono z pięknego, lipcowego dnia!

Gdzie jest ktoś, kto ma serce jak plaster miodu. Tego serca nie zaznałem od wielu miesięcy. Otrzymałem jedynie kartki pisane ręką Matki. Tutaj? Co tutaj jest? Poza najpiękniejszymi myślami o Matce nie ma zbyt wiele. Jest bardzo nadzieja i w tej chwili jeszcze dość duże pragnienie przeżycia, szczęśliwego powrotu i spotkania z Matką.

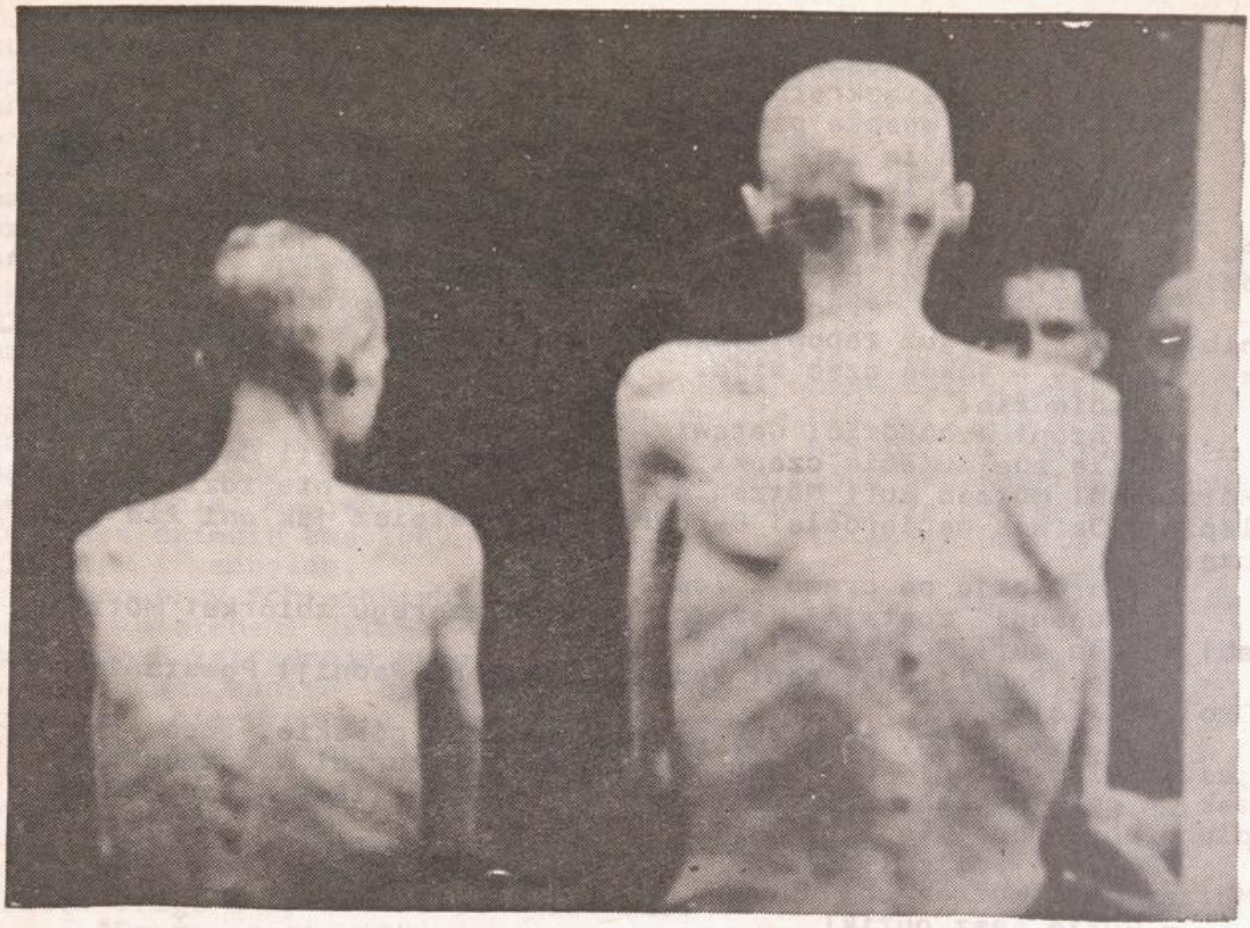

Zdjęcie chorych z rewiru wykonane przez dziennikarzy czechosłowackich w dniu 8 maja 1945 roku

Nr archiwum 3.9.1.29

Jechaliśmy z nadzieją, że jedziemy do pracy, do jakichś minimalnie choćby znośnych warunków, choć za drutami kolczastymi - przyjechaliśmy do jakiejś straszliwej dziury, w której jest pełno bandytów i każdy z nich jest panem życia i śmierci. Czy będzie można to przeżyć? Będzie to bardzo trudne. Zobaczymy, co będzie jutro. Co przyniesie jutrzejszy dzień.

Każdy dzień następny jest dniem bliżej nieokreślonym. Jeśli będę pamiętał, że coś stało się ściśle określonego dnia, nie zapomnę o tym napisać. Każdy dzień rozpoczyna się bardzo wcześnie dźwiękiem jakiegoś przedmiotu metalowego, o który ktoś uderza młotkiem czy kawałkiem drewna. Po tym dźwięku następowały wrzaski: Aufstehen! Wstawać! Sprzątać! Schnell! Schneller! Szybciej! Myć się! Na I-szym bloku łóżko słał zawsze Rosjanin, z którym spałem. Miał na imię chyba Mikołaj. Miał okrągłą, różową twarz, lecz w sobie był już bardzo szczupły. Usługiwał chyba oprócz pracy zasadniczej "lekarzowi" i z tego tytułu otrzymywał od niego jakieś "zulagi". Dzięki temu, jakoś żył. Los Rosjan w obozie był wyjątkowo godzien pożałowania z tego względu, że nigdy nie otrzymywali jakichkolwiek paczek. Wielu z nich w naszym obozie przeżyło dzięki pracy w fabryce, gdzie praca nie była tak ciężka, jak we wszystkich komandach budowlanych, które z zasady doprowadzały wszystkich więźniów do stanu kompletnego wyczerpania. Wielokrotnie z naszego obozu byli odwożeni do Gross-Rosen kompletni muzułmani. Na ich miejsca przyjeżdżali nowi więźniowie zdolni do pracy, czy to w fabryce czy też w "baukolonnie". Pamiętam pewnego Rosjanina. Gdy przyjechał do Reichenau był niskim, krępym, mocnym chłopakiem. Został skierowany do Baukolonne. Po kilku miesiącach /dwóch lub trzech/ przyszedł na drugi blok, na którym wtedy byłem, z prośbą do blokowego, aby go w jakiś sposób wspomógł. Był tak chudy, że obecnie wydał mi się wyjątkowo wysokim, starym chłopcem. Czasy się już bardzo zmieniły i blokowy, który kiedyś nazwałby proszącego Speckjäger /myśliwy, polujący na słoninę/ i co najmniej raz a dobrze walnął - teraz po prostu powiedział, że w niczym pomóc nie może. Rosjanin z godnością odszedł. W najbliższym transporcie - może następnego dnia - jako muzułmanin niezdolny do jakiejkolwiek pracy został z grupą podobnych sobie nieszczęsnych ludzi odwieziony do Gross-Rosen.

Po tych krótkich wzmiankach o dwóch rosyjskich towarzyszach niedoli, spróbuję opisać przeciętny dzień w obozie na II bloku, w pierwszym okresie mojego tam przebywania. W sali zwanej Tagesraum stały stoły i stołki oraz kilka łóżek jak nasze w sypialni piętrowe dla blokowego, sztubowego i ewentualnie kilku innych "häftlingów", którzy nie pełnili żadnych funkcji, lecz z tytułu swego zawodu lub narodowości oraz tłoku w ogólnej sypialni tutaj zostali umieszczeni. Stoły były idealnie czyste. Stale skrobane szkłem lub papierem szklistym. Do jedzenia odwracało się wierzchy stołów na drugą stronę, tak aby strona "prawa" była zawsze nieskazitelnie czysta. Podłoga była nasycona jakąś ciemną pastą. Nie wolno było wejść do sali w butach. Należało je zdjąć w przedsionku i chodzić po bloku w tak zwanych "fislingach". Były to jak gdyby skarpetki - lecz uszyte z dwóch kawałków materiału. Prawdopodobnie szyli je więźniowie w Gross-Rosen z wszelkiego rodzaju gorszych ubrań więźniów. Buty wnosiło się ze sobą i stawiało pod stołem, przy którym się siedziało. Pamiętam, że otrzymałem w Gross-Rosen zupełnie znośne drewniaki, lecz nie klapki, jak jedne z następnych, ale kamasze. Niestety, już po kilku dniach zapewne któryś z "baukolonne" przywłaszczył je sobie. Przezornie, nie skarżąc się nikomu - wzią-

łem te jakieś marne buty, które tamten pozostawił i na tym się skończyło, ale byłem rozgoryczony, bo buty były wygodne.

Po kilku dniach zacząłem już odczuwać głód.

Pewnego wieczoru, gdy wraz z innymi czekałem na rozdzielenie kolacji - kiwnął na mnie sztubowy Czech. Gdy podszedłem, spytał: "Ilu masz ludzi?". Naszego stołowego w tym momencie nie było, a on chciał skończyć rozdzielanie chleba i margaryny. Nie wiedziałem, ilu jest nas wszystkich przy stole i w ogóle nie byłem przygotowany na rozdzielanie chleba i margaryny między zgłodniałych kolegów, więc powiedziałem: "nie wiem". Czech tak mnie walnął w twarz, że znowu przez moment nie wiedziałem gdzie jestem i co się ze mną stało. Ludzkie bydlę spokojnie powiedziało: "Ab!". Odszedłem, ale w głowie mi szumiało.

Przyszedł nasz stołowy i pobrał chleb, margarynę i marmeladę buraczaną. W znośnym spokoju zjedliśmy kolację. Niestety tego dnia nie pisany był nam spokój. Na blok wpadł "lagerälteste" i wrzasnął: "Zugangi! Antretten!".

Aby znowu nie podpaść, wybiegłem jeden z pierwszych. Stanęliśmy dwójkami. Było nas około trzydziestu. "Lagerälteste" wziął nas tylko dziesięciu do rozładowania jakichś skrzyń z samochodu. Reszta szczęśliwie wróciła na blok.

Skrzynki były ciężkie, a "lagerälteste" poganiał nas i bił. "To nie idzie być szybciej?! Ja was napierdola! Znowu spadło na mnie kilka bolesnych uderzeń. Postanowiłem pilnować się i wykonywać prace jeszcze cięższe, aby tylko nie być bitym, ale przekonałem się, że w zetknięciu ze zbrodniarzami nie ma żadnych reguł i żadnych zasad, a wszystki zależy od fantazji "Übermenscha".

Nareszcie skrzynie przeniesiono z samochodu i złożono w stosy. Wróciliśmy do obozu.

"Myć się i spać!"

Powlekliśmy się do "waschraumu". Rozebrałem się do pasa.

"Umyć nogi!".

Obmyłem zimną wodą twarz i szyję, podniosłem i włożyłem do koryta prawą nogę i trochę ją obmyłem. Rozejrzałem się wokół, bo nie miałem siły podnieść, włożyć do koryta i obmyć lewej nogi - w "waschraumie" nie było żadnego prześladowcy - więc zrezygnowałem z mycia lewej nogi. Wróciłem na blok. Na szczęście było już po odwszawianiu więc wolno rozebrałem się i wszedłem do "sypialni". Z największym trudem wdrapałem się na III-cie piętro do swojego Rosjanina. Mikołaj coś mi szeptał, że pouczę paczkę, ale ja nie miałem siły utwierdzić go w tej naszej wspólnej nadziei. Usnąłem.

Dzień któryś.

Daleki odgłos gongu, do którego można się przyzwyczaić i niedługo po nim okropne: "Aufstehen! Wstawać! Ruszać się gnojki! Ruck-zug! Słać łóżka! Zamiatać! Sprzątać! Myć się! Ruszać się! Zugangi po śniadanie! Bierz tragi!".

Nasz przyjazd do obozu jest ratunkiem dla kilkudziesięciu muzułmanów. Przez kilka tygodni, do każdej dodatkowej pracy widzi się tylko nas. Za kilka tygodni przyjedzie nowy Zugang lub my staniemy się muzułmanami. Zanim to nastąpi może uciec z tego piekła? Pewna dość liczna grupa więźniów wychodzi codziennie trzy razy poza teren obozu po śniadanie, obiad, kolację! Może uciec, póki ma się jeszcze trochę sił? Trzeba rozpatrzyć wszystkie "za i przeciw". Miejscowość, w której jesteśmy, to taka większa wioska ze stacją kolejową i dużym budynkiem fabrycznym. Nasz obóz leży właściwie na krańcu tej wioski. Przed obozem na południe jest dworzec kolejowy. Za nim trochę na prawo jakiś obóz pracy /widzimy dużo

ludzi chodzących koło dworca/. Od nas na wschód jest teren fabryczny z kilkupiętrowym budynkiem. Między terenami fabryki, a naszym obozem jest kuchnia, do której chodzimy po śniadania, obiady i kolacje. Za obozem na północ jest jakieś gospodarstwo. To samo na zachód. Dalej na północ i zachód pola i gdzie niegdzie jakieś gospodarstwo. Na pewno w tych gospodarstwach są Niemcy, ale pewnie starsi i młodzież - Hitlerjugend. Ci byliby dla nas uciekinierów najgorsi.

Jest gorący lipiec i w dalszym ciągu chce mi się pić, więc piję wodę z kranów. Dostaję biegunki. W czasie przerwy obiadowej zgłaszam się do "lekarza", Ukraińca, który daje mi kilka tabletek węgla.

- "Czy mam jeść panie doktorze, czy powstrzymać się od jedzenia?"

- "Jeśli nie będziesz jadł to umrzesz".

Jest to właściwie moja pierwsza i ostatnia rozmowa i porada u lekarza obozowego. Na moje szczęście biegunka minęła po jednym dniu. Na pewno pomogły mi te tabletki węgla. Instyktownie unikałem rewiru obozowego. Pamiętam, że jednego z kolegów rozbolał ząb, więc poszedł na ten "rewir". Właśnie przyszedł "lagerälteste". Gdy się dowiedział, o co chodzi, kazał sobie przynieść kombinerki. Mimo protestów kolegi, "uśmierzonych" brutalnym uderzeniem w twarz, "lagerälteste" kombinerkami wyrwał koledze bolącego zęba. Bardzo był z siebie zadowolony i pytał kogo jeszcze boli ząb. Nikogo więcej nie boral żaden ząb.

Mimo, że nas nie zabijano w dosłownym znaczeniu tego słowa, to jednak życie stawało się coraz cięższe i trudniejsze. Traciliśmy siły z każdym dniem, byliśmy głodni bez przerwy. Wyznaczono nas sześciu, czy ośmiu, do grupy transportowej. To była najcięższa praca. Stale brano nas do przywożenia z terenu fabryki do obozu części aparatów radiowych, lub innych rzeczy. Do obozu nie było drogi bitej, tylko polna, w czasie deszczu pokryta błotem, w którym grzęzło się po kostki. Wóz ciężki, my - konie słabi i droga pod górę. To było jak droga krzyżowa, gdyż bito nas boleśnie witkami, gdy nie mogliśmy podjechać do obozu. Chyba uratowała nas następna grupa "häftlingów".

Pod koniec sierpnia, lub na początku września, ukończono trzeci barak. Był to wielce szczęśliwy dzień. Zostałem tam przeniesiony i otrzymałem łóżko dla siebie. Było to jak jeden jasny promień, bo nic się dalej nie zmieniło. Wstawanie o świcie - mycie nie mycie bez mydła w zimnie - głodne śniadanie - praca - głodna miska zupy w południe - praca - głodna kolacja - i aby móc się położyć i zasnąć. Niestety, często wracając z pracy zastawaliśmy sypialnie zburzone jakoby wobec tego, że nie utrzymywaliśmy ich w porządku. Wszystkie deski, sienniki i koce leżały na ziemi. Wśród wrzasków blokowego, sztubowego, schreibera i innych, trzeba było zrobić porządek, umyć się i dopiero następowała kolacja, po której myślało się, jakie to szczęście najeść się do syta chleba.

Pójdziemy nareszcie spać.

- "Antreten! Antreten! Wszyscy na plac apelowy". "Lagerälteste" każe wybrać tych, co pracują w fabryce.

- Wszyscy oni mają robić drogę. Od bramy do baraku fabrycznego. Brać taczki. Wozić kamień. Układać kamień. Ruszać się! To nie może być szybciej? Ja was napierdola! Czy my to przeżyjemy? Wielkie kamienie leżą za bramą obozową - trzeba je kłaść na taczki i wozić kilkadziesiąt metrów, zrzucać i układać.

- To nie idzie być lepiej?

- To nie idzie być szybciej?
Czy my to przeżyjemy?
- Ja was napierdola! Mit Laufschritt marsch! marsch!
- Bernard! Jak oni pracują?! Ty nie masz na nich kija?!
Czy to ktoś zrozumie? Czy to zdoła sobie wyobrazić? Przecież mamy ładny, jesienny dzień! Ludzie dla ludzi stali się najgorszymi zwierzętami.
Słońce już dawno zaszło - gdy nam pozwolono iść spać.
Myć się wy brudasy i lenie śmierdzące!

- Panie! czy możesz tak spokojnie
na to wszystko patrzeć.
Dlaczego przynajmniej piorun nie trzaśnie
w to samotnie stojące drzewo lub w komin fabryczny.

W nocy budzi nas ciche wołanie jednego z nas:
- "Kapsz, Merhard" - to woła stary Jugosłowianin swoich dwóch, dużo młodszych pobratymców.
- Kapsz, Merhard - mówi do nich zanikającym głosem. Coś im mówi. Wpada blokowy z wrzaskiem - bo jeszcze dwie godziny do dzwonka porannego i można jeszcze spać, a ktoś coś gada - lecz wychodzi bez słowa. My też milczymy. Jugosłowianin umiera dość długo. Coś jeszcze mówi. Kapsz i Merhard coś mu odpowiadają.
Stu ludzi, których nieludzki ustrój chciał zmienić w numery, uczestniczy w śmierci jednego z nich. Jugosłowianin umarł.
Rozległ się gong. Rozpoczął się zwyczajny dzień w obozie koncentracyjnym. Posłać łóżko! umyć się, ukryć się, aby nie iść po śniadanie, czekać na kawałek chleba, odrobinę margaryna i odrobinę marmelady buraczanej i "antreten"!!
- Das Ganze still stand! Mützen ab! Mützen auf! Do roboty! To nie idzie być szybciej?! Ja was napierdola! Dzień jak poprzednie, tylko robi się zimniej, bo już listopad i coraz głodniej. Jak przeżywają ci z grupy budowlanej? Niestety, po dwóch, trzech miesiącach stają się niezdolnymi do pracy "muzułmanami" i są odwożeni do wykończenia do Gross-Rosen. Na ich miejsce przybywają nowi - przybyli niedawno z różnych więzień do Gross-Rosen. Za dwa, trzy miesiące staną się muzułmanami i zostaną odesłani do Gross-Rosen na "wykończenie". Ja jeszcze żyję, bo pracuję w fabryce. Wprawdzie nie otrzymuję "zulagi" - kawałka chleba i plasterka końskiej kiełbasy, ale cały niemal dzień, za wyjątkiem najtrudniejszych prac dodatkowych, siedzę pod dachem. Mimo to, wszyscy tracimy na wadze, stajemy się coraz słabsi. Zabija nas praca, głód, zimno, brak snu, bicie, niepokój o nas i naszych bliskich. Co się stało z Powstaniem Warszawskim, z wszystkimi mieszkańcami Warszawy. Mniejsza z tym wszystkim. Żeby zdobyć jakimś cudem kawałek chleba! chleba!!
Przywożą do obozu nowych "ha"ftlingów". Są to Warszawiacy wywiezieni z Warszawy po Powstaniu. Niektórzy z nich brali udział w Powstaniu, ale do tego przyznają się tylko niektórym z nas i po pewnym czasie. Boją się konsekwencji. Życie płynie normalnym głodnym, zimnym nurtem. Antypatyczny więzień - chyba volksdeutsch B. mówi:
- Ta trumna co stoi za rewirem to jest dla T.
T. nie wytrzymuje nerwowo i idzie na skargę do Lagerführera. Następnego dnia po apelu porannym Komendant obozu woła B.
- Coś powiedział wczoraj T.
B. plącze się /mówi po niemiecku/, chce obrócić wszystko w żart. Komendant uderza go kilka razy w twarz i każe wracać do szeregu. Następnie mówi:

Absender: Julie Ptaszyńska
Kettwig Ruhr
Bahnhofstr. 21
Hagen Verl.

Dich herzlich, deine Julie
Herzliche Grüsse von Dosia
2.XI.44 r

Der Führer kennt nur Kampf, Arbeit und Sorge.
Wir wollen ihm den Teil abnehmen,
Den wir ihm abnehmen können.
Wyjmalen 18.XI.1944

Postkarte

KETTWIG
-3.11.44 07
b

Ptaszyński Kazimierz
2799
Konz-Lager (8)
Gross-Rosen
über Striegau.

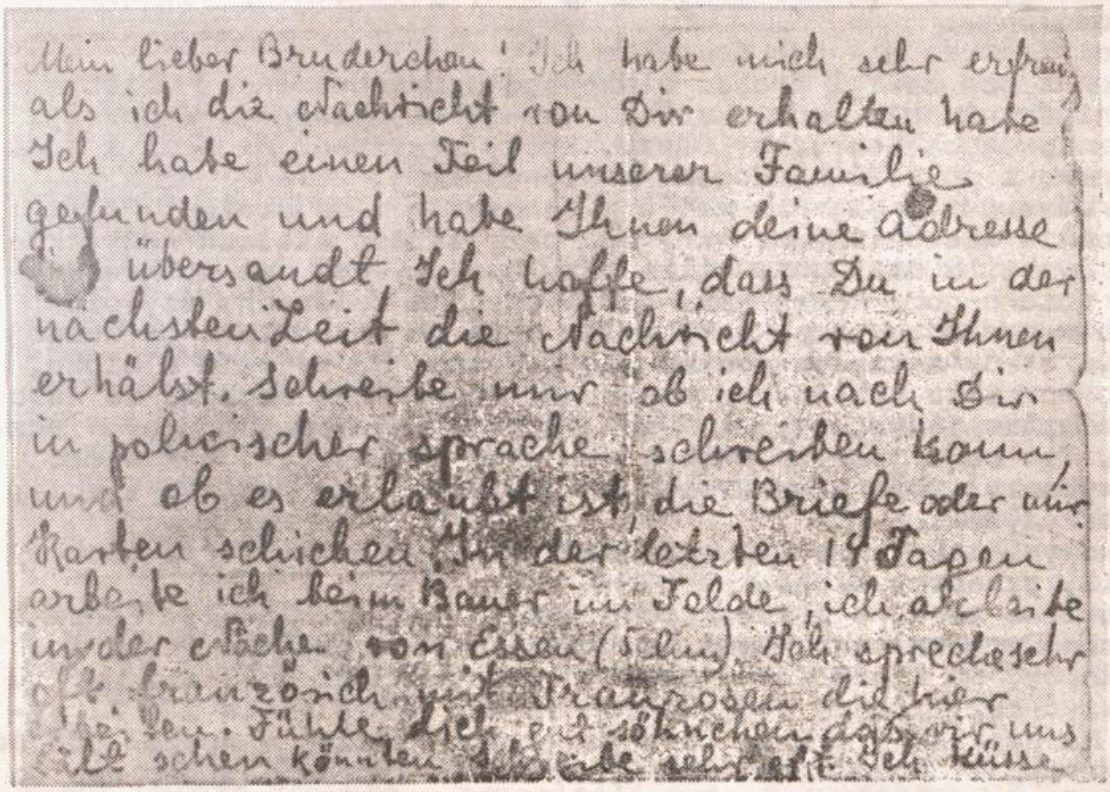

Mein lieber Bruderchen! Ich habe mich sehr erfreut, als ich die Nachricht von Dir erhalten habe. Ich habe einen Teil unserer Familie gefunden und habe Ihnen deine Adresse übersandt. Ich hoffe, dass Du in der nächsten Zeit die Nachricht von Ihnen erhälst. Schreibe mir ob ich nach Dir in polnischer Sprache schreiben kann, und ob es erlaubt ist, die Briefe oder mir Karten schicken. In der letzten 14 Tagen arbeite ich beim Bauer im Felde, ich arbeite in der Nähe von Essen (5 km). Ich spreche sehr oft französisch mit Franzosen die hier arbeiten. Fühle dich gut söhnchen, dass wir uns bald sehen könnten. Schreibe sehr oft. Ich küsse

List otrzymany w obozie przez Kazimierza Ptaszyńskiego w dniu 18 listopada 1944 roku pisany przez siotrę Julię Ptaszyńską z Kettwig

Nr archiwum 1.5.3.5

- Jeżeli chcecie przeżyć ten obóz, to macie pracować i zachowywać się spokojnie. Od dzisiejszego dnia bicie w obozie jest najsurowiej zabronione. Kto dopuści się jakiegoś przewinienia, to ja osobiście go ukarzę!

Nie wierzymy własnym uszom. Komendant w jakimś sensie obiecał nam możliwość przeżycia tego koszmaru i jednocześnie oświadczył, że: "Schlagen ist strengstverboten". Nie mieści się to nam w głowach. Chociaż i bez bicia będziemy dalej z głodu, zimna i wyczerpania umierali. Przez dwa - trzy tygodnie bicie ustaje. Bicie, które nastąpiło po tej przerwie, nie było już tak straszne jak poprzednio.

Chyba dzięki temu zakazowi przeżyłem dwa tygodnie, kiedy to O. powiedział blokowemu, o czym rozmawialiśmy z kolegami. Mówili o tym wszyscy, ale kiedy blokowy zaczął ryczeć - kto mówił, że się nie rozdziela wszystkiej żywności przynoszonej do obozu - usłużny O. wymienił mnie i trzech innych kolegów. Od bicia uratował nas niedawny zakaz komendanta. Blokowy kazał nam wziąć taborety, ustawić je na stołach. Każdy z nas musiał wejść na stół, a następnie na taboret i w pozycji "przysiad" z rękami wyciągniętymi do przodu musieliśmy trwać bardzo długo. Blokowy zaś wymyślał nam używając najgorszych wyrazów i określeń. Gdy się zmęczył gadaniem, wygodnie odpoczywał. My trwaliśmy w przysiadzie z rękami wysuniętymi do przodu. Gdy zaczęły nam drętwieć kolana, zaczęliśmy się poruszać, przenosząc kolejno ciężar ciała z lewej nogi na prawą i znów na lewą, aby wytrwać w męczącej pozycji. Blokowy był nareszcie zadowolony.

- No! Zaczyna wam być dobrze!

Jeden z nas zaczął prosić blokowego o przebaczenie. Obiecywał, że już nigdy nic nie będzie mówił. Nic to nie pomogło. Z opresji wybawił nas chyba Schreiber obozu, który przyszedł na blok i znał całą sprawę i polecił blokowemu zamienić karę.

Z trudem udało się nam zejść z taboretów i ze stołów. Przez dwa tygodnie musieliśmy za karę myć przy swoich stołach wszystkie miski i łyżki, a następnie kilka razy blokowy dał nam po kawałku papieru ściernego i kazał nam, oczywiście na kolanach, czyścić żby śrub w podłodze przez cały wolny czas po obiedzie i po kolacji.

Chyba wtedy zacząłem modlić się co rano. Po wyjściu z bloku, schodząc po kilku schodach i następnie idąc drogą obozową do Waschraumu, mówiłem jedynie tyle: "Bądź pozdrowiony Wszechmogący Wieczny Boże. Ten obóz jest za słaby, aby mnie wykończyć". Jak widać Bóg mi wybaczył moje niesamowite zuchwalstwo, czy pewność siebie, i obóz przeżyłem.

Blokowym, który nas tak prześladował, był Emil. Teraz blokowy bloku III, przedtem II-go.

Dodatkowo za karę przeniesiono nas na gorszy blok II. Panował tam niesamowity bałagan. Dano nam łóżka w II sypialni. Chyba lepiej było być na bloku III i czyścić śruby w podłodze, niż być tu teraz i żyć bez żadnych dodatkowych szykan na II bloku i w II sypialni. Na szczęście trwało to chyba tylko tydzień - musiał odejść jakiś transport "muzułmanów" do Gross-Rosen i przeniesiono nas do sypialni I-szej. Postępy na frontach spowodowały zmianę w obozie. Terror zelżał. Lecz głód, zimno, strach i niepokój, robiły swoje. Ludzie "muzułmanieli" lub popadali w apatię. Szła zima. Z apatii wyrwał nas trochę komendant obozu. Jakieś trzy tygodnie przed Świętami Bożego Narodzenia, po apelu porannym, powiedział:

- Zbliżają się Święta więc trzeba dla dzieci zrobić zabawki. Dzieci są dziećmi /ciekawa zmiana u hitlerowca i SS-mana/ i muszę

się cieszyć w czasie Świąt. W fabryce macie różne odpadki materiałów, więc zróbcie dzieciom zabawki - ą poszedł.

- Do pracy! krzyknęli blokowi - więc poszliśmy do fabryki. Dzieci są dziećmi. To prawda, tylko że dzieci polskie z Zamojszczyzny zamarzały w wagonach kolejowych, a dzieci żydowskie są gazowane w komorach gazowych. Dzieci są dziećmi! Może i naszym dzieciom ktoś zrobi coś dobrego na Boże Narodzenie.

Bez entuzjazmu zrobiliśmy dzieciom niemieckim kilkadziesiąt a może sto kilkadziesiąt zabawek. Wszyscy zeszli o jeden stopień ze szczytu wrogości. Wprawdzie Wigilię przesunięto z soboty na niedzielę ale przeżyliśmy jakiś inny spokojniejszy dzień. Nie goniono nas jak zwykle, a na kolację była miska gęstej grochówki, po kawałku ciasta i po trzy jabłka. To wszystko było zupełnie niezwykłe.

W przeddzień tego dnia, a więc w rzeczywisty dzień wigilijny, otrzymałem kartkę od brata Edwarda z obozu jeńców wojennych. Nie była ona wprawdzie adresowana do mnie, lecz do Komendanta Gros-Rosen, z prośbą o informację, czy jestem w tym obozie. Kartkę skierowano do Reichenau i tak oto dowiedziałem się w dniu wigilijnym, że mój brak przeżył Powstanie i jest w obozie jeńców wojennych. Ponieważ słabo znam język niemiecki, kartkę tłumaczył mi Andrzej Wojnar.

Dni stawały się coraz trudniejsze, bo nastały silne mrozy. Prawdopodobnie dla ludzi normalnie ubranych i dobrze odżywionych była to zwyczajna, przeciętna zima. Nam było coraz trudniej. Wobec kilku stwierdzonych wypadków gruźlicy - aby jej przeciwdziałać wprowadzono w obozie gimnastykę poranną. Staliśmy więc co rano na kilkunastostopniowym mrozie i gimnastykowaliśmy się, aby nie dostać gruźlicy. Pamiętam co najmniej trzech chorych na gruźlicę: Morzyszek, Karasik - trzeciego nazwiska nie pamiętam.

Chyba w połowie stycznia 1945 r. przyszedł nowy transport więźniów w miejsce odesłanych do Gross-Rosen "muzułmanów". Byli to więźniowie z Oświęcimia. Byli - jak na warunki obozowe - dobrze ubrani - w porządnych ubraniach, w skórzanych butach - przeważnie pełnili jakieś funkcje w Oświęcimiu więc przeżyli. Tutaj trafili na czasy, kiedy Niemcy byli już skutecznie bici ze wszystkich stron. Oświęcim opuścili przed nacierającymi wojskami rosyjskimi. Zaczęła świtać nadzieja wolności, bo chyba przez kilka dni w lutym, w czasie apelów porannych, słyszeliśmy dalekie odgłosy działa artyleryjskich. Mimo to wszystko w obozie szło utartym trybem. Wstawanie o świcie, niby mycie w lodowatej wodzie, gimnastyka jako lekarstwo przeciw gruźlicy, nędzne śniadanie, apel, "Mützen ab", "Zum Arbeit", niewolnicza praca, miska wodzianki na obiad i znów niewolnicza praca i znów głodowa kolacja i stały głód i wieczne zimno i odwszawianie i stale wśród wrzasków "mit laufschritt" i stale uderzenia /już zapomniano o zakazie komendanta, że "schlagen ist strengst verboten". Nareszcie upragniona noc, przerywana niestety stałym wstawaniem - nawet 5 razy w ciągu nocy - aby oddać mocz.

W pracy zaczynało brakować części do montażu. Spotkała mnie rzecz bardzo przykra - przenieśli mnie z "Prüfelda" do pracy poza obozem w głównym budynku fabryki. Odprowadzano nas kilkudziesięciu tam co rano i przyprowadzano z powrotem do obozu. Pracy w fabryce było coraz mniej - nie dochodziły części. Zaczęto nas brać - była wczesna wiosna - do kopania rowów strzeleckich. Rozumieliśmy, że front się przybliża, że Niemcy będą już stale opuszczali dotychczasowe pozycje i wycofywali się na nowe. Może jednak

przeżyjemy - choć dojście do miejsc kopania rowów strzeleckich, łupanie jeszcze zmarzniętej ziemi kilofami i kopanie rowów głębokości do 1,5 m kosztowało nas wiele trudu. Traciliśmy siły - było strasznie zimno - kazano nam się śpieszyć. Front zbliżał się. Po wykopaniu niezbędnych okopów dla Niemców, co z przerwami trwało około trzech tygodni - wróciliśmy do pracy w fabryce z tym, że coraz częściej brakowało części do montażu urządzeń.

Nadchodziła wczesna wiosna. Ja, Walerian Stępniak i Grzegorz Ostroś postanowiliśmy uciec z obozu. Sprzętu do cięcia drutu w ogrodzeniu mieliśmy dosyć. Z największym strachem przyniosłem szczypce do cięcia drutu z fabryki poza obozem. Wiedzieliśmy, że ogrodzenie z drutu kolczastego na izolatorach jest pod prądem, ale zauważyliśmy, że brama, która również była zadrutowana i normalnie winna być pod prądem nie jest połączona z całym ogrodzeniem, gdyż przez częste otwieranie drut się ukruszył. Od dłuższego już czasu ze względu na zaciemnianie obóz nie był oświetlany. Postanowiliśmy uciekać przez wycięcie otworu w bramie. Datę ucieczki ustaliliśmy na dzień 2-giego kwietnia, a raczej w nocy z 2-go na 3-go kwietnia. 1-go i 2-go kwietnia była Wielkanoc i liczyliśmy zupełnie słusznie, że po tych dwóch dniach względnego odpoczynku będziemy mieli więcej siły, aby uciekać. Brak czasu na opisywanie tych denerwujących przeżyć. Najważniejsze: Tej pamiętnej nocy Grzegorz Ostroś miał "nachtwachę". Natychmiast po jej objęciu obudził mnie i Stępniaka, przy czym przygotował nam najlepsze cywilne ubrania i buty Oświęcimiaków. Wysunęliśmy się z baraku, co było niedopuszczalne, i w piwnicy za szczytem II bloku ubraliśmy się w to, co mieliśmy. Niestety Walerian Stępniak nie znalazł narzędzi w miejscu, w którym miały być złożone. Po kilku minutach bezskutecznego ich szukania, przerażeni myślą o wsypie, rozebraliśmy się i wróciliśmy kompletnie wyczerpani psychicznie na blok. Ubrania porzuciliśmy w przedsionku za kibel i wpadliśmy do sypialni. Okazało się później, że w ostatniej chwili narzędzia zostały złożone chyba przez Grzegorza w innym, lepszym miejscu, o czym zapomniał nas powiadomić. Jego gorące prośby, abyśmy spróbowali raz jeszcze natychmiast uciekać nie mogły odnieść pozytywnego skutku. Byliśmy ze Stępniakiem moralnie rozbici. Następnego ranka na bloku panował niesamowity bałagan i piekło - bo wprawdzie Grzegorz pełniąc dalej w nocy "nachtwachę" - położył gdzieś ubrania i obuwie Oświęcimiaków przy stole, przy którym siedzieli, ale to wszystko było tak pomieszane, że z trudem każdy znalazł swoje ubranie.

My trzej przez kilka dni chodziliśmy po obozie jak po najgorszej chorobie, mając każdy do każdego żal - o co? Może się lepiej stało. Przeżyliśmy. Nie wiadomo co by nas spotkało po ucieczce.

Był kwiecień. Któregoś dnia w samo południe usłyszeliśmy daleki, głuchy odgłos nadlatujących samolotów, który potężniał z każdą chwilą. Po chwili - na znacznej wysokości - na pewno około 4000-5000 m zobaczyliśmy nadlatujące z południa, olbrzymie samoloty uformowane w idealne klucze. Jedne z nich były niebieskie, inne czarne. W każdym kluczu było 9 może 11 samolotów. Wszystkich razem - kilkadziesiąt. Samoloty leciały jak na defiladzie. Mimo, że leciały bardzo wysoko, ziemia drżała a szyby w oknach dzwoniły. Modliliśmy się chyba wszyscy, aby nie ta fabryka była ich celem. Nic by z nas nie zostało. Przeleciały na północ. Po niedługim czasie doszły do nas odgłosy jakiegoś potężnego bombardowania. Po tym przelocie jeden z kolegów Walerian lub Grzegorz zaproponował - może jeszcze raz spróbować uciec? Odpowiedziałem - wojna skończy się wkrótce.

Czasy zmieniały się gruntownie. Oprócz kilku oficerów SS, którzy przybyli do Reichenau z Gross-Rosen, bo musieli opuścić ten obóz na skutek uderzeń wojsk radzieckich - do obozu przybył jakiś Unterscharführer., który zachowywał się zupełnie przyzwoicie, a poza tym zmienił się "Lagerälteste". Odszedł stary, który stale wrzeszczał: "wy chachary ja was napierdola", a na jego miejsce przyszedł inny, też zachowujący się w miarę przyzwoicie. Widocznie komendanci obozów obiecali "lagerältestrom", że ich pozmieniają przed końcem wojny, aby za wierną służbę Hitlerowi nie zostali powieszeni przez "häftlingów".

Oficerowie SS czuli się najbezpieczniej w obozie. Chodzili po niewielkim jego obszarze i nawet nie kazali się sobie kłaniać. Jak to się czasy zmieniły!

Nadszedł kres obozu. Ewakuacja obozu nastąpiła o świcie dnia 8 maja 1945 r. Wyprowadzono nas wszystkich z obozu jakoby celem przekazania partyzantom, czy jakimś władzom Czechosłowackim. Po dojściu do szosy skręciliśmy w prawo, natomiast komendant obozu Braun, jego zastępca Hofman i kilku wartowników oraz schreiber uciekli szosą w lewo, zabierając ze sobą dużą część aprowizacji obozu. Z nami pozostał ten, względnie przyzwoity "Unterscharführer" przysłany do obozu kilka tygodni wcześniej i kilku niemrawych, zdezorientowanych wartowników. Zrozumieliśmy, że zbliżamy się do końca niewoli. Skręciliśmy w jakąś trzeciorzędną drogę wiodącą przez las. Niespodziewanie zajechał nam drogę niemiecki samochód pancerny. Poczuliśmy się śmiertelnie zagrożeni. Po dłuższych pertraktacjach prowadzonych przez załogę samochodu pancernego z prowadzącym nas "Unterscharführerem" oraz cywilnym kierownikiem fabryki, w której pracowaliśmy, pozwolono nam zająć jakąś większą polanę przy drodze i wydano śniadanie.

Po pewnym czasie samochód pancerny odjechał, a nas zaprowadzono z powrotem do obozu. Na zwyżkach wartowniczych nie było już wartowników. Już ich praktycznie nie było - gdzieś któryś przemknął w cywilnym ubraniu. Po południu zwołano ostatni apel. Do obozu wszedł ten sam względnie zachowujący się unterscharfführer i zawiadomił nas, że wojna się skończyła, że jesteśmy wolni i że życzy nam szczęśliwych powrotów do własnych domów. Rzuciliśmy się na "Unterscharführera" - i wychustaliśmy go. Byliśmy wolni. Po wyjściu Niemca odśpiewaliśmy hymny państwowe Polski, Francji i Związku Radzieckiego.

Nr archiwum 3.9.3.6.

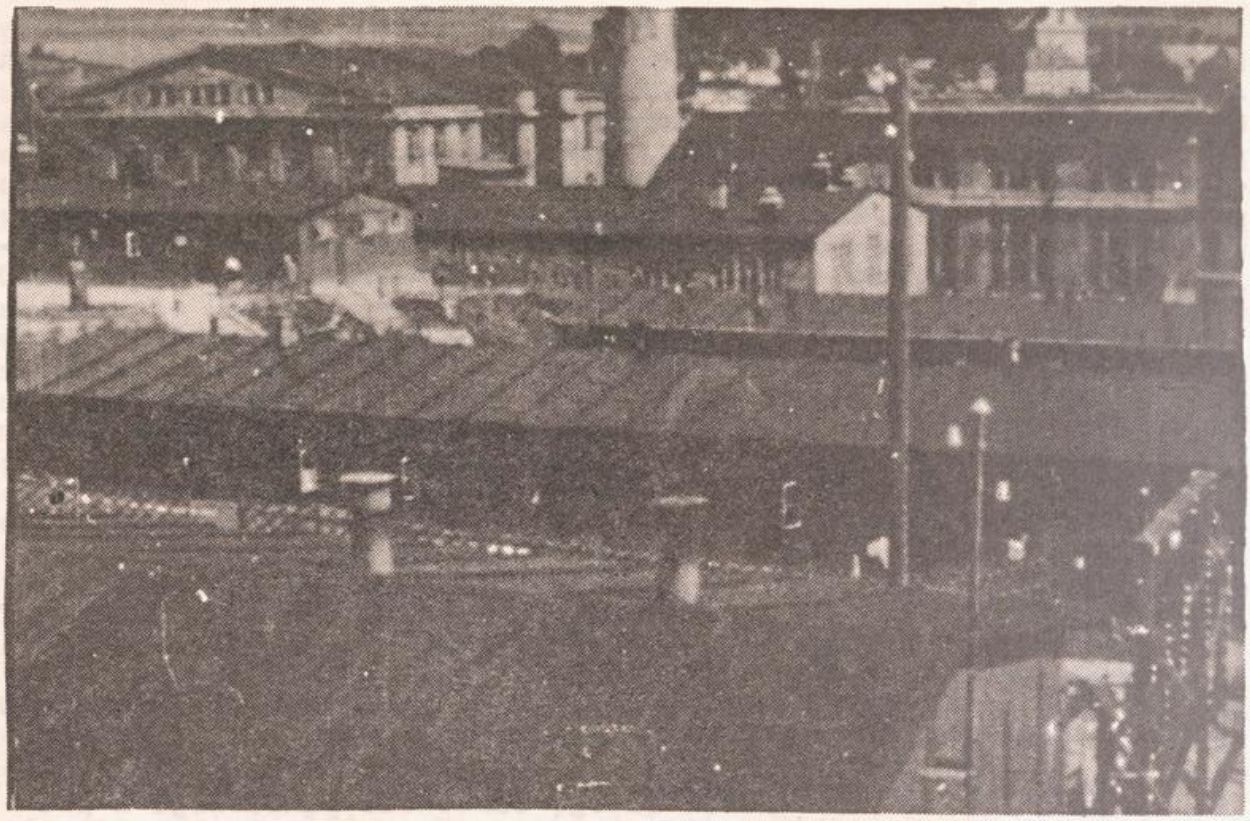

Widok na fabrykę główną "GETEWENT" od strony obozu, do której więźniowie kopali tunel. Na pierwszym planie dachy baraków obozowych.

Nr archiwum 3.9.1.20

Henryk Król
P - 30641

BUDOWA TUNELU DO FABRYKI

Do pracy w komando Reichenau przywieziono mnie z Gross-Rosen 30 kwietnia 1944 roku, wcielono do grupy więźniów pracującej przy robotach budowlanych w tak zwanym komando Baukolonne.

Od czerwca rozpoczęliśmy budowę tunelu, który miał połączyć fabrykę "Getewent", znajdującą się na terenie obozu, z fabryką główną, znajdującą się poza obozem. Długość tunelu miała wynosić około 1200 metrów. Ten tunel był drążony w skale na głębokości około 6 metrów. Do tej pracy zwiększono liczbę więźniów i podzielono na dwie grupy. Jedna grupa rozpoczęła pracę od strony fabryki obozowej, którą nadzorował Kazimierz Jabłoński - kryminalista z Poznania. Druga grupa, w której pracowałem i ja, rozpoczynała pracę od strony fabryki poza obozem. Tu nadzorował kapo Alojzy Kończak. Rozpoczęliśmy wykopem dołu o wymiarach 10x8 metrów, od którego zaczęto drążyć tunel w kierunku obozu. Była to najcięższa praca dla więźniów komanda Reichenau i wykańczalnia wycieńczonych głodem i nieustannym popędzaniem w dusznym tunelu. Również wyładunek na powierzchnię urobku skalnego nie należał do łatwych, gdyż tu popędzali inni kapowie oraz pilnujący esesmani. Nie będę opisywał tej naszej tragedii, bo tylko wyobraźnia może sobie podpowiedzieć, jak ciężka to była praca, wycieńczonych więźniów przy młotach pneumatycznych, przy wynoszeniu urobku skalnego z tunelu i wreszcie przy przenoszeniu go na wysokość 6 metrów do powierzchni ziemi,aby tam załadować na samochody. Nie było lekkie każde stanowisko pracy, a wszystkie ręce były omdlałe i pokaleczone.

Jednak nie mogę zapomnieć pomocy, jaką nam okazały kobiety Czeszki, zatrudnione w kuchni fabrycznej. Widziały naszą mękę przy pracy i wyniszczone postacie i nocą po kryjomu zaczęły konspiracyjnie przynosić jedzenie. Duży gar zupy i resztki chleba od pewnego czasu zastawaliśmy w tunelu, gdy rano przychodziliśmy do pracy. Kapo Kończak rozdzielał to dodatkowe jedzenie wśród nas pracujących w tunelu. Czynem swoim okazały one nie tylko współczucie, ale i konkretną pomoc tym dodatkowym dożywieniem. Okazały również wiele odwagi, gdyż gdyby się to wykryło, byłyby zapewne w najlepszym wypadku skazane do obozu koncentracyjnego, za pomaganie "niebezpiecznym bandytom".

Te trudne do wytrzymania warunki pracy i bytowania więźniów naprowadzały nam myśli ucieczki. Pewnego razu, gdy sprawdzano stan komanda po skończonej pracy, okazało się, że brak jest jednego więźnia. Wstępne poszukiwania nie dały rezultatu, wobec czego nas popędzono do obozu i tam ustalono, że brakującym więźniem jest Rosjanin. "Lagerführer" Braun zarządził poszukiwania. Prawie wszyscy funkcyjni brali udział i załoga esesmańska. Przeszukiwano cały teren budowy tunelu. Kilofami i szpadlami kopano każdy kopczyk ziemi, ale więźnia nie znaleziono. Zapadał już zmrok, gdy blokowy Emil Klosek podszedł do obozu kloacznego i zapaloną zapalniczką badał,czy coś nie odkryje.Zapalniczka zgasła. Zawołał więc innych i okazało się, że w tym dole był uciekinier ukryty. Do obozu wtoczono już drgające zwłoki ludzkie, kopiąc butami jak piłkę. Twarzy już nie było, tylko bryła czerwonego mięsa. "Lagerführer" na oczach wszystkich więźniów też kopał stygnące już zwłoki. Tak zakończyła

się jeszcze jedna próba ucieczki do wolności. Przebieg poszukiwania i odkrycia więźnia słyszałem osobiście, gdy blokowy Emil opowiadając kapo Kępie chwalił się sukcesem znalezienia więźnia.

Numer Archiwum Gross-Rosen 3.9.3.9.

Pierwszy dzień Wolności. Partyzanci czescy wynieśli z rewiru więźnia

Nr archiwum 3.9.1.17

Stefan Miernik
P - 36040

BYŁEM WIĘŹNIEM RADOMSKIEGO GESTAPO

Zostałem aresztowany przez Gestapo z Radomia w dniu 15.III. 1944 roku w Skarżysku Kamiennej. Wraz ze mną zostało aresztowanych siedmiu moich znajomych, między mimi mój brat stryjeczny. Zabrano z nami gotową amunicję, proch i łuski oraz przyrząd do nabijania amunicji, robiony przeze mnie. Zostaliśmy wpędzeni do samochodu i leżących na podłodze samochodu zawieźli nas do Radomia. Zawieźli nas na ul. Kościuszki, gdzie we dwóch zanieśliśmy tę amunicję na drugie piętro i z powrotem zawieźli nas do więzienia. Osadzono nas w sali zbiorczej, gdzie siedziało około 12 aresztowanych; ale poprzedniego dnia zabrano 10 jako zakładników; dalsze losy ich nieznane; siedzieliśmy całą noc. Rano, gdy się rozwidniało, odczytaliśmy kilka nazwisk i słów wypisanych na scianach: z tej celi już się nie wraca. Jednak rano pojedynczo przerzucano nas na inne cele. Pobyt mój na celi byl tragiczny: 11 razy byłem na przesłuchaniu bity do nieprzytomności, ale nic im to nie dało. Przy każdej wizytacji celi przez naczelnika więzienia sadysty Kocha musiałem być pobity. Nie wiem dlaczego mnie i jednego Francuza wybrał sobie wykończyć, ale przetrwałem aż nadszedł dzień, kiedy to rano o świcie 16 lub 17 maja, nie pamiętam dokładnie, wpadł na celę naczelnik Koch z listą i wyczytał jedenastu, między innymi i mnie. Na korytarz! Padać na ziemię! Później na dziedzińcu skrępowali drutami kolczastymi ręce i do samochodu. Zawieźli nas na dworzec kolejowy i zaczęła się tragedia. Do wagonów wpędzano nas psami, gwałt, krzyk był nie doopisania. Transport liczył około 400 lub 500 ludzi, dokładnie nie pamiętam. Wieźli nas bez jedzenia i bez wody. W naszym wagonie wykończyło się 4 więźniów zanim dojechaliśmy do Gross-Rosen. Nazwisk ich nie pamiętam, wiem tylko, że byli z Radomia. Do Gross-Rosen przyjechaliśmy rano dnia 20 lub 21 maja. Od dworca szliśmy pieszo do bramy obozu śmierci. Po wejściu za bramę - na plac zbiorczy i tam rozbiórka do naga, podejście do stołów esesmanów, wpisanie numerów /mój nr 36040/ i do umywalni; tam golenie, ale wszędzie, nawet brwi, później dezynfekcja i pod wodę gorącą i zimną poganiani przez "kapów". Ubrali nas w ubrania po Żydach i na bloki. Dano mnie na blok 18. Był tam "kapo" Iwan - Rosjanin, sadysta nieprzeciętny; wykończył swoich rodaków, z 1500 przywiezionych do Gross-Rosen zostało kilku, miał metodę odbijania nerek przez kopanie; mało mnie nie wykończył w ubikacji. Na drugi dzień podczas apelu wyczytano wszystkich moich znajomych prócz mnie i wysłano do filii Gross-Rosen w kierunku Berlina. Ja zostałem sam bez żadnego znajomego. Nie pamiętam, którego dnia spędzili nas do jednego bloku za drutami wszystkich nowych na kwarantannę. Blok był ogrodzony drutami, żeby nie mieli dojścia więźniowie, którzy już to przechodzili. Tak siedzieliśmy przez cały tydzień bez wody na suchym chlebie i margarynie po kostce na jeden łyk. Jednak więźniowie z innych bloków trochę nas ratowali i dostarczali choć parę kropli wody. Po skończeniu tej kwarantanny wyczytano mnie rano do kamieniołomów do noszenia kamieni. Szczęście miałem, że nie trwało to długo, ponad tydzień, kiedy to rano przeniósł mnie blokowy z 18 bloku na 2 blok. Ale co widziałem przy tej pracy w kamieniołomach to jest nie do opisania; normalnie zostawało tam po siedmiu lub więcej dziennie spychanych w dół. Gdybym tam

chodził dalej, nie wytrzymałbym długo i spotkało by mnie to samo. Zaraz następnego dnia zostałem wysłany z trzema więźniami przez blokowego do zrzucania koksu i węgla przy piecach krematoryjnych. Miałem możność widzieć to co tam się działo. Trudno było w to uwierzyć, ale i tam zostaliśmy pobici, gdyż nas było 4, a przyczep na 12. Już opadliśmy z sił, a "kapo" nas gonił, aż w końcu zaczął tak bić, żeśmy popadali. Gdyby nie przyszedł blokowy, wykończyłby nas. Wysłał go na blok i przyszło 8 więźniów; nas zabrał na blok; nie pamiętam nazwiska tego "kapo". Po upływie kilku dni zostałem rano wysłany do pracy w kuchni wynosić kotły na korytarze, skąd zabierali je więźniowie i zanosili na bloki; później mycie kotłów; w międzyczasie obieranie kartofli dla esesmanów. Nie trwało to długo, może około tygodnia, kiedy to wpada blokowy i odczytuje mój numer 36040. Zaprowadził mnie na "schreibstubę" czyli do biura "Lagerführera". Tam zostałem poddany egzaminowi w zawodzie tokarza przez inżyniera cywilnego Czecha, który przyjechał z Reichenau po tokarzy. Miałem zawód wpisany w kartotece jako tokarz, kiedy mnie aresztowali pracowałem u nich w firmie Hasag, przed wojną Fabryka Amunicji w Skarżysku-Kamiennej jako tokarz.
Ten zawód może mnie uratował od śmierci; przekonałem się o tym w pracy w Reichenau jako tokarz. Opis dotyczył bardzo krótko pobytu w Gross-Rosen, ale chcąc opisać szczegółowo musiałbym zapisać cały brulion. Z Gross-Rosen zabrano nas dwóch, mnie i Francuza, na samochód. Przyjechaliśmy do Reichenau w godzinach popołudniowych witani od razu w bramie wejściowej gumami, taki był zwyczaj, tak witano wszystkich, którzy przechodzili tę bramę. Po wejściu na blok numer 1, blokowy kazał się rozebrać z tych pasiaków, zdjąć buty i skarpety, a dał nam pasiaki cienkie papierowe i bez skarpet buty trepy "wyrzynane"; ja się trochę oparłem i nie chciałem oddać tego; do dziś mam ślady na twarzy i czole tak mnie zmasakrował; ale i to się wytrzymało. Do Reichenau przyjechałem w pierwszej połowie lipca; przez dwa dni woziłem z więźniami darnie taczkami; trzeciego dnia zaprowadzili mnie razem z więźniami do Fabryki poza druty, tam po zrobieniu 10 szt. próbnych sworzni czterostopniowych bardzo dokładnych, sprawdzonych przez kontrolę - zostałem wpisany do dziennika u mistrza jako tokarz i pracowałem do końca. Nie będę opisywał szczegółów, ale wyszczególnię najważniejsze. Zachorowałem na krwawą dezenterię po zjedzeniu sałatki ze ślimaków. Byłem formalnie wykończony, koledzy prowadzili mnie pod ręce na zakład; na rewir nie chciałem iść, gdyż tam czekała mnie śmierć nieunikniona, wolałem paść przy tokarni. Dużo pomogli mi w czasie tej choroby najbliżsi przyjaciele Jan Kosiński z Lublina i Józef Skrobot z Suchedniowa. Ta choroba na żołądek odbiła się poważnie na moim zdrowiu; do dziś "szwankuje" mi żołądek. Każdy dzień miał jakieś niespodzianki grożące śmiercią. Właśnie to się sprawdziło, co nadmieniłem poprzednio, że zawód tokarza uratował mnie od różnych sportów: padnij, czołgaj się itd. - po dwie godziny i od innych ciężkich prac, a były one przy budowie zakładu na terenie obozu. Ale i zawód mi czasami nie pomagał. Wbrew zakazowi dyrektora tego zakładu brano nas przed pracą lub po pracy, gdyż robiliśmy w zakładzie na dwie zmiany po dziesięć godz., do różnych robót przy budowie budynku, jak noszenie kamieni spoza drutów na ramionach do budowy i do innych robót. Miałem przejście z "kapo" z 1 bloku, powybijał mi kilka zębów i szczękę za to, że zostałem zwolniony przez mistrza na blok, na opuchnięcie twarzy od zębów. Ale nie przeszło mi to gładko, gdyż na drugi dzień rano przy apelu "Lagerführer" odczytał mój numer 36040 - wystąp - i przez tłumacza pyta

jak się to stało, że zostałem tak pobity przez "kapo". Opowiedziałem mu, "kapo" został skuty w kajdanki i odwieziony do Gross-Rosen; ale ja dostałem jeden raz ręką od "Lagerführera" w ucho tak, że dwa tygodnie szumiało mi w głowie; myślę, że chyba za to, że musiał wysłać tego "kapo" do Gross-Rosen, gdyż był wzywany do dyrektora tego zakładu w mojej sprawie tego pobicia. Od tego czasu byłem prześladowany przez "Lagerführera", ale i to przetrzymałem.

Dowiedziałem się od blokowego z Gross-Rosen, który przyprowadził kilku więźniów do naszego obozu, że ci, co przyjechali razem ze mną moi koledzy do Gross-Rosen zostali ściągnięci z filii do Gross-Rosen i straceni, podobno około 17 lub 18 października, jeśli dobrze pamiętam Ich Nazwiska: Stanisław Łyżwa, Lucjan Rózik, Henryk Sadza, Józef Kowalik, Mieczysław Miernik mój brat stryjeczny, Roman Bilski i Zaręba. Byliśmy razem aresztowani w dniu 15 marca 1944 roku; mieszkaliśmy w Skarżysku-Kamienna.

Ostatnie tygodnie przed wyzwoleniem przez wojska Rádzieckie było bardzo ciężko przeżyć, zapanował głód, nie pracowaliśmy nigdzie, aż przyszedł dzień 8 maja. Wyprowadzono nas około godz. 4 rano. Obstawieni przez "postów" i młodych ze sfastykami i inwalidów, wyprowadzeni byliśmy poza miasto. Za nami albo był to karabin maszynowy lub jakaś tankietka. Lagerführer, blokowi, Szrajber i Lagrowy /a było ich aż dwóch/ pojechali w innym kierunku. Nas prowadził zastępca "Lagerführera" i zaprowadzono nas do zagajnika poza miasto na stracenie. Kazano nam siadać, a między zastępcą "Lagerführera", dyrektorem tego zakładu a hitlerowcami z trupią główką trwała dyskusja dość długo, aż w końcu kazano nam wstać i odmaszerować z powrotem do obozu. Im możemy zawdzięczać, że żyjemy. Nie pamiętam nazwisk dyrektora zakładu i zastępcy "Lagerführera", ale ich nazwiska na pewno pamiętają młodsi więźniowie, a może już są wam znane. Około godz. 8 rano została ogłoszona przez zastępcę "Lagerführera" wolność.

Co się działo między więźniami, tego nie można opisać, to trzeba widzieć. Do żony i dzieci, a miałem ich dwoje, dwie córeczki, wróciłem 20 maja. Ale dzień 8 maja 1945 roku jest do tego czasu wielkim przeżyciem i świętem, że "Przeżyliśmy Gross-Rosen".

Nr archiwum 3.9.3.12.

Przekazanie tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych 610 więźniów różnej narodowości w obozie Reichenau. Tablica odlana z metalu została przywieziona z Polski we wrześniu 1978 roku.
Na zdjęciu od lewej Henryk Uchman z Warszawy, Bohumil Madèra - przewodniczący Miejskiego Narodnego Vyboru w Rychnov, Mieczysław Mołdawa z Warszawy, Henryk Król z Jeleniej Góry, Vaclav Dvorak - sekretarz Okręgowego Związku Bojowników Antyfaszystowskich w Jablonec n. Nysą i Józef Skrobot ze Skarżyska Kamiennej.

foto Jan Kosiński Nr archiwum 3.9.1.13

Franciszek Drożdż
P - 15564

GROSS ROSEN I REICHENAU

Pierwszy dzień w "koncentraku".

Do obozu przybyłem transportem kolejowym z więzienia z Wrocławia w grupie 360 ludzi. Na stacji już SS czekało na odebranie transportu. Skuto nas po trzy osoby razem i popędzono w kierunku obozu. Nie mieliśmy pojęcia co to znaczy "Koncentracionslager. Jesteśmy na miejscu przed główną bramą. Ogarnęła mnie rozpacz, strach, widzimy jakieś postacie wychudzone, ubrane w pasiaki, przypominające dziwne kukły. W pewnym momencie orkiestra grała marsza. Wtem otworzyły się główne bramy, przekroczyliśmy je po raz pierwszy, a dla niektórych po raz ostatni. Z przerażenia rozglądaliśmy się wokoło. Pod lasem potężny komin krematoryjny bucha kłębami dymu palonych zwłok. Bieganina wokół nas. ludzi w pasiakach z numeracją i czerwonymi trójkątami lub czarnymi. Nie mogliśmy pojąć, co to ma znaczyć; w krótkim czasie wszystko się wyjaśniło. Stoimy w zwartej grupie, czekamy na dalsze wydarzenia, podchodzi więzień funkcyjny z czarnym trójkątem i kiepską polszczyzną, wyczytuje nazwiska i nadaje przy tym numerację, jaki kto będzie posiadał numer. "Od tej chwili będziecie wołani po numerze - nazwiska nie istnieją; zrozumiano? "Tak jest", powtórzyli przestraszeni "zugangi". Po chwili odszedł do "schreibstube" i przynosi gotowe numery blaszane na mocnej nitce. Przyszli wraz z nim oprawcy z pejczami. Człowiek ubrany w pasiak czyta numeracje w języku niemieckim. Żaden "zugang" nie zgłasza się nie znając języka. Zaczęła się huraganowa bijatyka, przekleństwa kopniaki; był to chrzest, jakiego nikt się nie spodziewał. Po rozdaniu numerków każdy więzień powiesił go na szyi. Trzeba było bez przerwy powtarzać liczbę jego. Ja otrzymałem 15564, numer ten miałem do końca. Następnie obdarto nas do goła, popędzono do łaźni, a wcześniej do golenia owłosienia. Następnie żrącym roztworem wysmarowali całe ciało przed łaźnią - ból, pieczenie w miejscach skaleczonych. Następnie upragniona łaźnia; do szczupłego pomieszczenia wpędzono po pięćdziesiąt ludzi; było niemożliwością obmyć się z tego płynu żrącego w lodowatej wodzie. Pod koniec tej łaźni puścili gorącą parę i na przemian zimną wodę; po takiej kąpieli wydano nam odzież. W biegu każdy łapał co mógł; dopiero na dworze dobieraliśmy trepy na nogi lub pasiaki. Po tej piekielnej łaźni połowa ludzi zachorowała na zapalenie płuc i skierowano ich na "rewir". Już nigdy nie wrócili do naszego grona z transportu.

Blok 14-ty przejściowy.

Na bloku tym był więzień narodowości rosyjskiej; mówił po rosyjsku i niemiecku; nazywali go Franek Iwan Czerwony. Jesteśmy na tym bloku przepełnionym, bez żadnych krzeseł - ławek czy innego sprzętu, ażeby można ulżyć zmęczeniu. Nie pozwalano na siedzenie na podłodze, więc staliśmy całymi dniami. Jak się odbywało spanie w takiej ciasnocie; 300 parę osób w jednym pomieszczeniu - baraku; więzień srogi kat poradził sobie - układał dwa pierwsze rzędy głowami do ściany w pozycji leżącej na bok, drugie dwa rzędy znów głowami od środka /jeszcze musiało być przejście środkiem/. Tak ułożeni ludzie na podłodze spędzali odpoczynek po pracy. Jeżeli się ktoś niepodobał temu blokowemu został zabity przez niego; nosił trzonek od kilofa i nim dobijał ludzi chorych, słabych i w ten sposób zdobywał dodatkowe porcje żywności dla siebie i jego kliki funkcyjnych.

Po przejściu "zugangu" - bloku Nr 14 przesłano mnie na 28 B. Tam przebywałem do końca. W Gross-Rosen pracowałem wewnątrz obozu przy sprzątaniu, ścinaniu trw, a następnie w warsztacie szewskim, reperując trepy.

20 marca 1944 r. zostałem wywieziony z transportem do filii obozu Gross-Rosen: Reichenau w Czechach. Tam była już duża grupa więźniów; byli Czesi, Polacy, Rosjanie. Budowaliśmy od podstaw nowy obóz sobie i przyszłym kolegom. Po zmontowaniu pierwszego bloku ja pracowałem w warsztacie szewskim z dwoma innymi więźniami. Obok nas był założony warsztat krawiecki, w którym pracował kolega Czechosłowak Mlickovski. Poznałem go w Reichenau i wielu innych, jak Janka Kosińskiego, Alojzego Piekarskiego z Warszawy, Kazimierza Wiśniewskiego z Rzeszowa, Stypę Pawła - już nieżyjącego, Rudolfa Kaźmierza z Białej Krakowskiej /już nieżyjący/, Józefa Matynię z Częstochowy, Andrzeja Bruczyńskiego z Warszawy, Piotra Dukiela z Jaworzna.

Z ludźmi tymi przeżyłem obóz koncentracyjny w Gross-Rosen i Reichenau do ostatniego dnia hitlerowskiej machiny wojennej. 8 maja 1945 r. zostaliśmy wyzwoleni przez Armię Czerwoną, na ziemiach czechosłowackich okupowanych przez trzecią rzeczę hitlerowską.

Nr archiwum 3.9.3.7

Grupa więźniów Reichenau na drugi dzień po odzyskaniu wolności w maju 1945 roku. Wśród nich: Kazimierz Ptaszyński, Kazimierz Kurski, Jan Kosiński, Michał Borkowski, Józef Skribit, Jaroslav Mlčkovský, Marian Cebula, Henryk Wolanowski, Ignacy Miętus, Bronisław Stachurski, Władysław Rusała, Henryk Król, Sieroża Sawan, Jan Pieńkowski, Stanisław Korba

Nr archiwum 3.9.1.24

Zygmunt Dondziło
P - 86755

PIERWSZY ODKRYŁEM, ŻE JESTEŚMY WOLNI

W przededniu zakończenia wojny znajomy wartownik esesman z Litwy w wielkiej tajemnicy powiedział mi, że jest już koniec wojny i, że na pewno w nocy nas wyprowadzą z obozu. Dokąd - to sam nie wiedział. Ja pracowałem jako mechanik samochodowy wraz z Jankiem Idecem, Kazikiem Malinowskim oraz ze Stasiem /nazwiska nie pamiętam/. Obsługiwałem samochód komendanta "Opel Admirał", napędzany węglem drzewnym "holzkohle". Każdego dnia wychodziliśmy z obozu do samochodów, a ja każdego dnia rano zgłaszałem się do kierowcy komendanta, który dawał mi wskazówki o pracy silnika stąd zapoznałem się z kilkoma "wachmanami", między innymi z tym Litwinem szczególnie, ponieważ znałem język litewski. O tym, co mi powiedział ten "wachman", powiedziałem kolegom w pracy, jak też i Heńkowi Wolanowskiemu oraz Michałowi Borkowskiemu, który był wówczas na "krankenbau /izba chorych/. Każdy z nas był przygotowany na ewentualną podróż. No i stało się.

Dnia 6-go maja 1945 r. obudzono nas w nocy nad ranem i zarządzono zbiórkę przed blokiem, skąd po krótkim przeliczeniu więźniów wyprowadzono w góry pod silną eskortą "wachmanów". Przed wymarszem uprzedzono, że jeżeli ktokolwiek będzie pozostawał lub próbował odejść z kolumny, to natychmiast zostanie zastrzelony. Takim marszem zaprowadzono nas w góry Sudety - miejscowości nie znam. Na wprost maszerującej kolumny pojawił się czołg. Nakazano nam, abyśmy się nie grupowali, bo do grupujących się więźniów będą strzelali. W tym czasie dowództwo grupy SS obstawiło wokół nas stanowiska ogniowe, tak z karabinów ręcznych, jak też z karabinów maszynowych. Ja, jako podoficer, obserwowałem te czynności i dawałem wojskowe porady więźniom, licząc się z tym, że po zakończeniu przygotowania stanowisk ogniowych nastąpi likwidacja nas, a zatem radziłem, jak wykorzystać nierówności terenu i ewentualnie ukryć się. W czasie zakończenia akcji przygotowawczej przez "wachmanów" nagle zauważyłem, że do czołgu nadjechał motocykl z esesmanami, który wezwał dowódcę, z którym prowadził energiczną rozmowę. Doszło do ostrej wymiany zdań, skąd doszły usłyszane przeze mnie słowa "zurick, nach Lager". W wyniku tego motocykl odjechał, a nam zarządzono zbiórkę, skąd pędzono nas z powrotem do lagru. W drodze powrotnej niektórzy więźniowie próbowali ocieczki i niektórym się to udawało, a niektórzy zostali zastrzeleni. Czym dalej szliśmy, tym kontrola "wachmanów" była słabsza, a niektórzy z nich sami uciekali do lasu, porzucając broń. Widziałem, jak ten Litwin rzucił karabin i uciekł do lasu. Ja szedłem razem z Heńkiem Wolańskim i tak doszliśmy do obozu, gdzie zauważyłem, że eskorta nasza znacznie się zmniejszyła. W obozie ustawiono nas przed blokiem i oświadczono nam, że jeżeli ktokolwiek wyjdzie z baraku, będzie natychmiast zastrzelony. Zamknięto nam w bloku drzwi i okna na okiennice. W zamknięciu czekaliśmy do chwili, kiedy ja postanowiłem zaryzykować wyjście z baraku około południa, licząc jedynie na to, że "wachmani" znając mnie nie będą strzelać, w przekonaniu, że idę do samochodu komendanta. Wszyscy więźniowie z mojego bloku nr 3 z zapartym tchem śledzili moje wyjście z baraku i z napięciem śledzili mnie idącego w kierunku bramy wyjściowej. Ja natomiast idąc do bramy ukradkiem

REICHENAU BEI GABLONZ AD NEISSE
MICHAŁ BORKOWSKI R·1945 R·1975
JAN KOSIŃSKI R·1945 R·1975
IGNACY MIETUŚ R·1938 R·1956
LESZEK STRUŚIŃSKI R·1942 R·1975
JERZY SZYMAŃSKI R·1945 R·1972
JÓZEF RATAJCZAK R·1950 R·1975
JÓZEF SKROBOT R·1945 R·1972
KAZIMIERZ PIASZYŃSKI 1945 R·1970
HENRYK WOLAROWSKI R·1945 R·1976
TADEUSZ MOLENDZIŃSKI R·1939 R·1971
NIEKTÓRZY

Tablo pamiątkowe opracowane przez Kol. Jana Kosińskiego, na pierwszy ogólnopolski zjazd b. więźniów Reichenau w Lublinie w dniach 27-28 września 1975 roku

Nr archiwum 3.9.2.12

spoglądałem na "postynkiety", na których nie zauważyłem żadnego "wachmana". Wówczas śmielej podążałem do bramy. Przed bramą zdjąłem więzienną czapkę, przez którą otworzyłem żelazną furtkę, licząc się z tym, że może być pod wysokim napięciem. Na wartowni przy bramie nie widziałem żadnej warty. Wówczas śmiało poszedłem do samochodu komendanta, niby oglądając go do uruchomienia, jednocześnie pilnie spoglądałem na "postynkiety" i w kierunku baraku. komendantury SS. Widząc, że nic się nie dzieje, udałem się do pokoju kierowcy komendanta, gdzie codziennie przychodziłem. Zapukałem do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Wówczas otworzyłem je i zobaczyłem, że pomieszczenie to jest puste, a cały pokój widać opuszczony pospiesznie. Było tam pełno rzeczy, jak ubrania, buty, swetry, skarpetki, koszule pozostawione w nieładzie. Wówczas postanowiłem dokładnie zbadać cały barak komendantury i stwierdziłem, że cały barak jest pusty. Wówczas poszukałem dla siebie spodnie, biały nowy golf, sweter, koszule, skarpety i nowe buty. Ubrałem się w te ciuchy i tak powróciłem spowrotem do obozu, by powiadomić wszystkich o tym, że jesteśmy wolni. Podczas powrotu do obozu przechodząc przez bramę wartowni wyłączyłem prąd wysokiego napięcia na ogrodzeniu obozu. Podczas powrotu cały blok mój nr 3 obserwował mnie przez szpary w oknach i drzwiach. A gdy powróciłem i oświadczyłem, że nie ma "wachmanów" i barak komendantury jest pusty i, że my wszyscy jesteśmy wolni, wszyscy rzucili się do mnie dziękując za dobrą nowinę i odwagę. Natychmiast po tym nasz blok nr 3 cały wyległ na plac, za nami blok nr 2 i blok nr 1. Ja poleciłem kolegom, by udali się na blok komendantury, gdzie można sobie wybrać ubrania i buty. Heńkowi Wolanowskiemu sam przyniosłem spodnie, sweter, koszulę i buty i tak nastąpiło u nas wyzwolenie.

W niedługim czasie do obozu przyszli Czesi, a później żołnierze radzieccy. Czesi najpierw zainteresowali się chorymi, później przystąpili do wydawania nam zaświadczeń o pobycie w obozie Reichenau, którego jestem w posiadaniu. Dalszy mój los, to wstąpienie do armii czeskiej, gdzie wraz z Heńkiem Wolanowskim rozbrajaliśmy Niemców, jak i likwidowaliśmy zbrojne pododdziały niemieckie, które w górach stawiały jeszcze opór zbrojny, ale jest to oddzielny temat wymagający odrębnego opisu.

Numer archiwum Gross-Rosen 3.9.3.10.

Stanisław Miętek
P - 23959

OSTATNIE DNI W OBOZIE

Pragnę przedstawić zakończenie wojny i wyzwolenie obozu. Być może nie wszystkie szczegóły pamiętam, ale na pewno ewakuacja obozu nastąpiła 8-go maja 1945 roku. Kiedy podszedł do mnie kolega Stanisław Sochaj z Radomia i wspólnie składaliśmy sobie życzenia imieninowe, było to podczas marszu już poza bramą. Wiedzieliśmy, że wojna już się skończyła, życzyliśmy sobie tylko szczęśliwego odzyskania wolności. Podczas marszu nie pamiętam, aby ktoś został zastrzelony, były próby ucieczki, widziałem jak pewien więzień - Niemiec wyszedł z kolumny do rowu i SS-man Węgier w starszym wieku udał, że go nie widzi, a więzień pozostał wolny poza kordonem. Następnie widziałem, jak uciekało dwóch Polaków, byli już około 100 metrów od kolumny. Nastąpiła strzelanina z erkaemu w ich stronę, zatrzymali się i wrócili do maszerujących. Poza spoliczkowaniem przez SS-mana nic się im więcej nie stało. Doszliśmy do Rajchenbergu, obstawiono nas karabinami na polanie między zabudowaniami i doliną jakiejś rzeczki. Podano nam do wiadomości że w razie ucieczki będą nas dziesiątkować. Pamiętam, jak dyrektor fabryki z Reichenau zdenerwowany biegał do miasta i z powrotem. Wynikało z tego, że nie mógł się połączyć i dowiedzieć co z nami zrobić. Po około dwóch godzinach zarządzono powrót do obozu. Podczas powrotu widać było coraz mniej SS-manów. Po przyjściu do obozu nie widać było wartowników na wieżach strażniczych, a po jakiejś pół godzinie przyszedł do obozu "Feldfebel" Słowak i zarządził zbiórkę na placu apelowym. Stanął na taborecie przebrany już w ubranie cywilne i oznajmił nam, że jesteśmy już wolni, że służba wartownicza opuściła już Reichenau i udała się na zachód. On jako ostatni opuszcza Reichenau i udaje się do domu do żony. Ostrzegał nas, żeby jeszcze nie wychodzić z obozu, gdyż są jeszcze w Reichenau Niemcy. Było to 8-go maja około godziny 4-tej po południu.

Pod koniec wojny ja pracowałem jako hydraulik z kolegą Stachurskim Bronisławem z Warszawy. Robiliśmy łaźnię dla SS-manów oraz naprawy i konserwacje w bloku SS-manów - na terenie obozu i często w baraku na kuchni cywilnej obozowej. Pakamerę mieliśmy w tym baraku, gdzie było wejście do stołówki cywilnej. Chodziliśmy tam pod byle pozorem sprawdzać instalację w kuchni. Czasem udało się zdobyć trochę "zlewek". Był to dla nas duży zastrzyk prowiantowy. Znałem całe pomieszczenie kuchni i zaplecza. Chodziliśmy w obrębie "posten kiety" bez dozoru SS-mana. W kuchni widziałem,jak zawsze w jednym miejscu leżało białe pieczywo i kiełbasa, która śniła mi się po nocach. Podczas pracy w baraku kuchni, wiedząc, że wojna lada dzień się skończy, gdyż mieliśmy kontakt z cywilami Czechami, marzeniem moim było, żeby w pierwszym rzędzie się najeść. W tym celu zostawiłem okno tak zamknięte, ażeby od strony zewnętrznej można było go otworzyć. Właśnie w dniu 8 maja już podczas szarówki wziąłem ze sobą kolegę Rojkiewicza Władysława, który pochodził z okolic Tarnowa i wyszliśmy z obozu. Wytłumaczyłem mu o co chodzi i w razie czego żeby wiedział, co się ze mną stało. Podeszliśmy do baraku kuchni od tyłu, on został w pewnej odległości, a ja podszedłem pod okno, o którym wiedziałem, że jest

otwarte. Okazało się, że nie takie to proste. Pod tym oknem niżej było okno do piwnicy, ponieważ barak stał na zboczu góry. Okno do piwnicy było obmurowane cegłą około 2 m od baraku i 1,5 m poniżej okna kuchni. Podszedłem po tym murku, złapałem się deski w rodzaju parapetu i żeby otworzyć okno trzeba było sięgnąć do tego miejsca, w którym stałem na murku około 1 m w bok. Trzymając się deski prawą ręką, lewą pchnąłem okno. Udało mi się okno uchylić, chwilę odczekałem, odepchnąłem okno dalej i rozpocząłem wdrapywanie się do środka. W kuchni rozpocząłem plądrowanie po ciemku "na macanego". Gdzie zwykle leżała kiełbasa - znalazłem tylko jedną bułkę dużą w rodzaju naszej paryskiej i napoczętą kostkę margaryny. Włożyłem to za koszulę, wdrapałem się powtórnie na okno, zeskok już był łatwiejszy. Mój kolega najadł się więcej strachu niż ja. Przyszliśmy na teren obozu i zjedliśmy tę bułkę grubo smarowaną margaryną.

Następnego dnia rano, tj. 9-go maja, przyszli do nas Rosjanie i Rosjanki z obozu wolnościowego z harmonią. Trochę nam pograli, niektórzy z kolegów próbowali potańczyć. Później w następne dni przyszli Czesi, zorganizowali wydawanie zaświadczeń w języku polskim i czeskim. Po otrzymaniu zaświadczeń, ja z kolegą Rojkiewiczem wyszliśmy na miasto, tam włączyliśmy się do powstańców czeskich i rozbrajaliśmy Niemców wracających z bronią. Szły również całe oddziały już wcześniej rozbrojone, patrzyliśmy na nich z politowaniem i z zadowoleniem, za nasze cierpienie.

Podczas pracy w garażach samochodowych w Reichenau bliżej się zaprzyjaźniłem z SS-manem inwalidą wojennym, rannym na froncie wschodnim, który pracował jako kierowca na samochodzie ciężarowym marki "FOMAG", a ja mu ten samochód obsługiwałem. Zostawił mi swój adres, gdyż przez niego wysyłałem listy poza cenzurą i dużo nam pomagał w przetrwaniu. Nazywał się Joset Bejer, mieszkał w Libenau. Informował mnie o sytuacji na froncie i prosił, żeby po zakończeniu wojny odwiedzić go w domu. Dnia 10 maja rano wziąłem ze sobą kolegę Rajkiewicza i poszliśmy do Libenau. W Libenau zastałem mojego znajomego Niemca zamiatającego rynek. Wskazał mi przełożonego Czecha, któremu podlegali jako Niemcy w pracach porządkowych. Zwróciłem się do niego i oznajmiłem mu, że ten Niemiec, co zamiata, to bardzo porządny człowiek, że ratował nam życie w obozie sam się narażając i ten Czech zwolnił go w tym dniu z pracy. Zaprowadził nas do domu, zapoznał z żoną i poczęstował śniadaniem. Po śniadaniu powiedział żeby o godz. 2-giej przyjść na obiad. Wyszliśmy na miasto i poszliśmy na komendanturę Czeską w Libercu, aby dali nam jakieś ubranie. Zaprowadzono nas do jakiegoś magazynu, gdzie można było sobie coś wybrać z rzeczy używanych. Tam przebraliśmy się w cywilne ubrania, ale pasiaki też wzięliśmy ze sobą. Na komendanturze opowiedziałem komendantowi, że mam tu takiego Niemca, co nam dużo pomagał w "Koncentraku" w Reichenau i prosiłem go, ażeby nie robiono mu krzywdy. Komendant kazał mi przyjść z nim. Gdy przyszliśmy wypisano mu oświadczenie, że pomagał nam więźniom obozu koncentracyjnego, które podpisałem ja i mój kolega, a komendant potwierdził. Podczas rozmowy z naszym znajomym Niemcem nieśmiało przyznał mi, że rodzina jego nie przejawia zadowolenia z naszej wizyty. Na komendanturze powiedziano nam, że 12 maja o 8-ej rano zorganizowany jest furmankami konnymi transport z Liberca do Jablonca, celem przewiezienia ludzi do pociągu w kierunku Brna. Przenocowaliśmy jeszcze jedną noc u naszego znajomego Niemca i rano wyszliśmy przed komendanturę, skąd odjeżdżały wozy konne załadowane ludźmi. Była to odległość około 12 km. W Jabloncu na peronie dworca spotkaliśmy naszych kolegów z Reichenau, między innymi

Janka Ideca z Krakowa, z którym razem pracowałem w gałażach przy samochodach. Rozpoczęliśmy powrót do Polski pociągiem krótkimi odcinkami, częściowo pieszo, gdyż były pozrywane tory w tunelach. Dojechaliśmy pociągiem na dachu wagonu towarowego do Dziedzic - stacji przygranicznej w Polsce. Na terenie Czechosłowacji dało się zauważyć zorganizowaną przez czerwony krzyż pomoc dla powracających z obozów koncentracyjnych, w postaci kubka białej kawy i kromki chleba, na peronach podczas postoju pociągu, podawane przez okno. Tego już nie dało się zauważyć po przekroczeniu granicy w Polsce. Z Dziedzic dojechaliśmy do Krakowa. W Krakowie rozstałem się z kolegami, gdyż oni byli z okolic Krakowa, natomiast w kierunku Warszawy jechałem sam. Pociąg był następnego dnia rano, jechał z Krakowa do Warszawy równe 24 godziny. Przyjechałem na dworzec Warszawa-Zachodnia 20 maja. Pozostało mi jeszcze około 25 km do Wieliszewa, gdzie zamieszkiwałem z rodzicami. W Al. Jerozolimskich spotkałem znajomego rodaka z Wieliszewa, Józefa Bałdowskiego, który mi wszystko opowiedział o rodzinnej wsi. Poinformował mnie, że z ul. Ratuszowej chodzi autobus wojskowy do Legionowa. Przyjechałem do Legionowa, ale do Wieliszewa trzeba było jeszcze przejść 6 km. pieszo. I tak dotarłem 20-go maja 1945 r. do Wieliszewa. Z domu rodzinnego leżała duża kupa gruzów, rodzice i troje młodszego rodzeństwa mieszkali w pofrontowej ziemiance. Czekaliśmy na starszego brata, który dzielił mój los w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, niestety na próżno. Został tam zamordowany prawdopodobnie podczas "marszu śmierci".

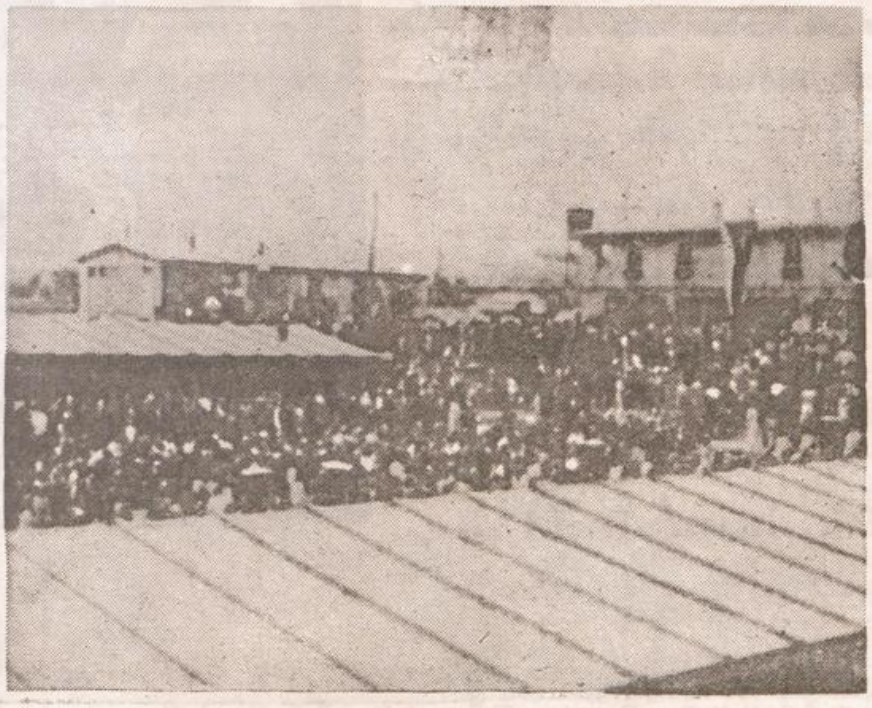

Rychnov - 9 maja 1946 roku - manifestacja ludności na terenie obozu w pierwszą rocznicę wyzwolenia Czechosłowacji i zakończenia wojny. Ogólny widok obozu. Z prawej budynek fabryczny. Na skraju widoczna wieżyczka obserwacyjna. Na niższym poziomie placu widoczne baraki

Nr archiwum 3.9.1.3

PROTOKÓŁ POBRANIA ZIEMI Z TERENU b. KOMAND GROSS/ROSEN

W dniu 4.V.1969. godz. 10.30 podczas pobytu delegacji polskich b. więźniów politycznych hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Rogoźnica - Gross - Rosen, poprzedzona minutą ciszy pobrana została do urny ziemia z miejsca kaźni więźniów filii tego obozu w Rychwałdzie G.S.R.S.

Ziemia ta zostanie złożona we wspólnej urnie komand Gross-Rosen w Mauzoleum Walki i Męczeństwa w Alei Szucha w Warszawie, jako wyraz wiecznej pamięci dla ofiar zbrodni hitlerowskich, dokonanych na terenie tego komanda.

W uroczystości pobrania prochów ziemi uczestniczyli ze strony polskiej następujący członkowie Klubu b. Więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Okręgu Warszawskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację:

1. Zenon Karpiński
2. Leon Lipiński
3. Czesław Jastrzębski
4. Ignacy Miętus
5. Mieczysław Hołdasz
6. Stefan Pala
7. Stefan Stański

Rychwałdzie dnia 4.V.1969.

(Zielonau)

Prochy ziemi z Komando Reichenau więźniowie przewieźli do urny w Muzeum Walki i Męczeństwa w Alei Szucha w Warszawie i do urny w Mauzoleum na Pawiaku.

Fotokopia protokółu z dnia 4 maja 1969 roku
Nr archiwum 3.9.2.1

SPIS WIĘŹNIÓW KOMANDO REICHENAU WEDŁUG NIEPEŁNYCH DANYCH ARCHIWUM ŚRODOWISKA

Lp.	Nazwisko i imię	Data urodzenia	Narodowość	Nr obozowy więźnia	U w a g i
1	2	3	4	5	6
1	Adamski Piotr Leonard		P	59656	zmarł w obozie
2	Adamski Władysław	28.07.1919	P	15375	zmarł w szpitalu
3	Andrele Frantisek		T		
4	Baczyński Jan	24.06.1897	P		zmarł w obozie
5	Badurski Wacław	24.09.1902	P	6325	
6	Baja	27.09.1888	P		zmarł w obozie
7	Banach Jan	1.04.1928	P	86718	
8	Bancerowski Franciszek	30.03.1910	P	12192	
9	Baraszow Ferdynand	1915	R		zmarł w obozie
10	Le - Barbaszon		F		
11	Beck Paweł	29.06.1906	P	3418	blokowy
12	Bednarczyk Tadeusz	12.08.1918	P	27628	
13	Bejling				
14	Berys Iwan		R		zmarł w obozie
15	Białas Jan		P	30942	
16	Bienert Bruno	1928	D		
17	Bitner		P		
18	Bombik Napoleon	31.03.1925	P	23729	zmarł w obozie
19	Bondarenko Walentin		R		
20	Bonsmer Paul		B		
21	Boon Jean	24.11.1925	B		zmarł w obozie
22	Borkowski Michał	17.07.1901	P	18720	
23	Borkowski Jan Tadeusz	27.12.1902	P	59279	
24	Boruch Ksawery		P		
25	Borys Iwan		R		zmarł w obozie
26	Boye Henryk	22.08.1913	P	59494	
27	Bram Jerzy	1930	P		
28	Bruczański Witold		P		
29	Brudzyński Władysław	14.08.1908	P	52913	
30	Bruszczyński Andrzej		P	86...	
31	Budances Aliosza	22.09.1918	R		zmarł w obozie
32	Bukowski Mieczysław		P		
33	Busz Stefan Adam	2.02.1920	P	86716	

1	2	3	4	5	6
34	Cacko Bronisław	30.05.1907	P	23741	
35	Cebo Alfred	7.12.1912	P	86728	
36	Cebula Marian		P		fryzjer
37	Ceglecki Zdzisław	2.08.1923	P	2890	
38	Cemaser		J		
39	Cendrowski Eugeniusz		P	30145	
40	Chaczaturian Nikola		R		
41	Cordo		B		
42	Czapajew Iwan		R		zmarł w obozie
43	Czebykin Piotr		R	2213	
44	Czekalski Eugeniusz	14.07.1909	P	18745	
45	Czernichowski Stefan	1.04.1913	P	86730	
46	Czosnowski Stanisław	3.04.1923	P	23758	
47	Czul Alojzy		P		
48	Daniłowski Stanisław	14.04.1915	P	59557	
49	Daszkiewicz Witold		P	30428	
50	Dec Jan		P		
51	Depoille Jean		F		
52	Diaczenko Wladimir	1930	R		
53	Doberstein Julian	1915	P		
54	Dobko Witold	14.11.1927	P		zmarł w obozie
55	Dobosz Wincenty		P		
56	Dondziło Zygmunt	8.09.1915	P	86755	
57	Dordogne Sarlat		F		
58	Dowgalenko Iwan		R		
59	Drewniak Stanisław	20.07.1914	P	86738	
60	Drewniak Wojciech	16.04.1922	P	86750	
61	Drożdż Franciszek	21.01.1921	P	16564	
62	Dubiel Piotr		P		zmarł w obozie
63	Du Wall Ferdinand		F		
64	Dzierżanowski Leon	27.03.1903	P	59701	
65	Dziki Stanisław	6.09.1923	P		zmarł w obozie
66	Ekielman Samuel		P		
67	Erlich Paul		D		kapo
68	Fajst Stanisław	27.07.1911	P	2189	
69	Fąfara Leon		P		
70	Fedorenko Teodor		R		pielęgniarz rewiru
71	Felosz Bronisław		P		zmarł w obozie

1	2	3	4	5	6
72	Filipowicz Stanisław		P		
73	Flantowicz		P		
74	Fonfara Wacław	13.09.1914	P	12666	
75	Fotfolc Zygmunt Jan		P		
76	Gałkiewicz Henryk		P	59218	
77	Gastaldo	1900	F		
78	Gerhart Jerzy		P		zmarł w obozie
79	Ghys-Sterton Jagnes		B		
80	Gocel Wacław		P		zmarł w obozie
81	Grabiec Tadeusz	28.09.1924	P	59202	
82	Grabowski		P		
83	Grabski Leonard		P		zmarł w obozie
84	Grączyk Czesław Józef		P	17993	zmarł w obozie
85	Griszow Sergiej	23.09.1908	R		zmarł w obozie
86	Gruszczyński Michał		P		zmarł w obozie
87	Grzejdziak Antoni	4.04.1890	P	81271	zmarł w obozie
88	Guga				
89	Guilland Camille	18.01.1907	F		zmarł w obozie
90	Guzik Stanisław		P	86727	
91	Günter	1927	D		
92	Habarkiewicz Bronisław	3.02.1898	P		zmarł w obozie
93	Heiche Harry		D		pisarz obozowy
94	Herubin Zygmunt	2.05.1913	P	86739	
95	Hlava Jozef		T		
96	Honore Heinrich	24.01.1906	B		zmarł w obozie
97	D Hont Adolph		B		
98	Horwath Edmund	12.01.1887	P	27782	
99	Hradow Walentin	1919	R	18...	
100	Hudowicz Stefan		P	85249	
101	Idec Jan	17.09.1908	P	86748	
102	Ignasiak Edmund		P		zmarł w obozie
103	Jabłoński Kazimierz		P		
104	Jagodziński Wacław		P		
105	Janczar Antoni	26.06.1899	P		zmarł w obozie
106	Janikowski Józef	4.01.1907	P		zmarł w obozie
107	Jantoschik Henry		J	18869	
108	Jaroszek Jan	30.01.1917	P		zmarł w obozie
109	Jastrzębski Czesław	15.07.1929	P	59730	

1	2	3	4	5	6
110	Jaworek Kazimierz		P		
111	Jerży Gerhard	15.12.1923	D		zmarł w obozie
112	Jeżmański Franciszek	16.03.1906	P		zmarł w obozie
113	Jopek Władysław		P		
114	Josień Stiepan		R		
115	Kacperski Zygmunt	14.09.1911	P	2697	
116	Kaczorowski Emil		P		
117	Kala Czesław		P	46670	
118	Kalinka Zygmunt	15.03.1916	P	59495	
119	Kamecki Leopold	16.03.1916	P	18775	
120	Kamiński Witold		P		
121	Kapsz Adolf		J		
122	Karczewski Edward		P		
123	Karowy Franciszek		P		
124	Katempiarz Bernard		P	86...	blokowy
125	Kawczyński Mikołaj		P		
126	Kawka Waldemar		P		
127	Kazimierczak Stefan	8.09.1910	P	74888	
128	Kempa Tadeusz		P	9030	blokowy - kapo
129	Kenczyński Marian	8.09.1912	P		zmarł w obozie
130	Kieloszyński		P		zmarł w obozie
131	Kleysner Karl		D		blokowy
132	Klinbajl Zdzisław	11.03.1925	P	2715	
133	Kloser Ksawery		P		
134	Klossek Emil		D		blokowy
135	Kłos Emil		P		zmarł w obozie
136	Knybel-Korwin Krzysztof	1916	P	59...	zmarł w obozie
137	Kolat Jan	15.03.1911	P		zmarł w obozie
138	Kończak Alojzy		P		kapo w karnej komp.
139	Kosiński Jan	24.06.1915	P	18862	
140	Kot Jan	25.12.1905	P		zmarł w obozie
141	Kotliński Stefan	24.12.1906	P	86768	
142	Kowalczuk Jerzy	1926	P	59552	
143	Kowalczyk Stanisław		P	86712	
144	Kowalski Roman	1.11.1896	P		
145	Kozłowski Erwin		P		
146	Krall		D		kapo
147	Krawiecki Jan	1900	P		

1	2	3	4	5	6
148	Król Henryk	9.02.1921	P	30641	
149	Iwo-Krukowski Piotr		P		
150	Kruszczyński Marian	8.09.1912	P	58409	zmarł w obozie
151	Krzywian Paweł	17.09.1915	P		zmarł w obozie
152	Kubusiński Andrzej		P	86707	
153	Kuczmański		P		
154	Kulhavy Jaroslav		T	18863	
155	Kułakowski Piotr	1926	P		zmarł w obozie
156	Kurski Kazimierz	16.07.1911	P	86706	
157	Kusa August	11.11.1916	P		zmarł w obozie
158	Kuzenko Wołodia	1914	R		
159	Kuźma Grzegorz		P		
160	Laco		T		
161	Lange Zbigniew St.	19.08.1927	P		zmarł w obozie
162	Kangiewicz Władysław	20.06.1915	P	59393	
163	Leibit Michajlo	20.05.1925	R		rozstrzelany
164	Leszczyński Waldemar		P		
165	Lew Aleksander	2.09.....	R		zmarł w obozie
166	Lipiński Leonard	28.12.1912	P	86724	
167	Loducha Józef		T		
168	Lotko Henryk		P		
169	Löwland Egil	1914	N	18860	
170	Ludwiczak Wojciech	27.03.1914	P	82905	
171	Łachecki Czesław	13.09.1902	P	86703	
172	Łopuski Kazimierz		P		
173	Łukasik Edward		P		
174	Łysek Zenon		P		
175	Mach Herman	1905	D		
176	Mag Clement Philipe		B		
177	Majewski Stefan	1.09.1899	P		zmarł w obozie
178	Majkut		P		
179	Makuszyński		P		
180	Malicki Karol Paweł	1.02.1924	P		zmarł w obozie
181	Malinowski Kazimierz	1915	P	86712	
182	Marakbal Georg	1.10.1906	B	88075	
183	Marciński Kazimierz	7.11.1916	P	65784	
184	Maryniak Stanisław	17.04.1917	P	9143	

1	2	3	4	5	6
185	Matwiejczuk Gregory	1903	R		zmarł w obozie
186	Matyniak Leonard Józef		P		
187	Mazela Jan		P		
188	Mänzahle Kurt	1913	D	18867	
189	Merschal Jean		F		zmarł w obozie
190	Merhard Franz		J		
191	Miąsowski Teodor		P		
192	Michael Georg		F		zmarł w obozie
193	Michajlenko Mikołaj	30.12.1908	R		zmarł w obozie
194	Michajło Lebit		L		rozstrzelany
195	Miernik Stefan	8.08.1915	P	36040	
196	Miętek Stanisław	24.07.1923	P	23959	
197	Miętus Ignacy	31.07.1919	P	2763	
198	Milenkovic Radomil		J		
199	Mlickowski Jaroslav	4.10.1919	T	7793	
200	Modzelewski Tadeusz		P		zmarł w obozie
201	Molendziński Tadeusz	6.07.1922	P	23967	
202	Molkow Aleksander	14.03.1912	R		zmarł w obozie
203	Monford Marcel		F	18868	
204	Monka Hans		D		
205	Morawski Zygmunt		P		
206	Możyszek Ryszard	14.03.1924	P		zmarł w obozie
207	Mousse Jean		F		
208	Mrazek Zdenek	1917	T	18886	
209	Mroczek Ryszard		P		
210	Muzalewski Ludwik	22.08.1883	P		zmarł w obozie
211	Müntz Heinrych	1929	F		zmarł w obozie
212	Nemec Jozef	1905	T	18865	
213	Niewiadomski Marian		P		zmarł w obozie
214	Nocek Walerian		P		
215	Nowacki Józef	1917	P	30085	
216	Nowak Ryszard Apol.	17.07.1922	P	23360	
217	Nowakowski Zygmunt	23.03.1895	P	68796	
218	Nyc Tadeusz		P		
219	Odrodowski Paweł		P		
220	Ogrodowczyk Andrzej Tad.	2.11.1923	P	29051	
221	Ogulewicz Stanisław	12.01.1922	P	86713	
222	Osiak Henryk		P		

1	2	3	4	5	6
223	Ostroś Grzegorz	26.10.1925	P	9238	
224	Otowski Józef	18.03.1908	P	86710	
225	Panek Mieczysław	9.03.1923	P	86729	
226	Papiernik Jaroslav	1912	T	18864	
227	Pasiak Stanisław		P		
228	Pastwa Alfred	24.05.1912	P	2785	
229	Pavlicek Bedrich	3.03.1924	T	32031	
230	Pech		F		zmarł w obozie
231	Perka Jan		P	18346	
232	Peschansky Aleksander		F		
233	Petian		B		
234	Pieciuch	1929	D	86...	
235	Piekarski Aleksander	1914	P	17...	
236	Pientok		P	86...	
237	Pieńkowski Jan		P		
238	Pietrzak Aleksander	13.02.1904	P		zmarł w obozie
239	Pill Eugeniusz		P	59...	zmarł w obozie
240	Pisarek Wacław		P		
241	Piton Pierre		F		
242	Płecki Jan Władysław		P		
243	Podgajny Władysław	24.02.1923	P	5275	
244	Ponomarow Gregori		R		
245	Porovne Ivan		J		
246	Posejdal Vladimir		T		zmarł w obozie
247	Posejpal Frantisek	1929	T		
248	Potupov Jurian	9.10.1925	R		zmarł w obozie
249	Prachnio Antoni		P		
250	Przejdziak	11.04.1918	P	16840	
251	Przybylak Roman		P	27...	
252	Przychodzki Stefan	8.12.1919	P	86546	
253	Ptaszyński Kazimierz	13.12.1919	P	2799	
254	Pytel Franciszek		P		
255	Pytlicek Stanislav		T		
256	Radwanek Jerzy	5.02.1919	P	86707	
257	Rajkowski Jan		P		zmarł w obozie
258	Rastawicki Jan	22.10.1893	P	86714	
259	Ratajczak Józef	16.06.1915	P	18861	
260	Rejkovic Michael	1928	J		zmarł w obozie

1	2	3	4	5	6
261	Reszczyński Andrzej	18.09.1922	P	2804	
262	Riodenko Wania	1928	R		
263	Rojek Władysław		P		
264	Rojkiewicz Władysław		P	86...	zmarł w obozie
265	Rokicki Adam		P		
266	Romanow Borys	1929	R		zmarł w obozie
267	Rondelvald Rudolf		T		
268	Rosiak Mieczysław		P		
269	Rotenko Wołodia	1931	R		
270	Ronviere Max		F		
271	Royer Louis		F		
272	Rozy Edward	2.02.1924	P	59387	
273	Ruciński Jan	22.05.1913	P	30645	
274	Rudkiewicz Włodzimierz	21.05.1910	P	86516	
275	Rudolf Kazimierz		P		
276	Rusała Władysław		P		
277	Russel Marceli		F		
278	Rutkowski Jerzy	14.01.1921	P	86741	
279	Rychter Ryszard Marian		P		
280	Ryl Jan	3.04.1902	P	88931	
281	Sacharian Roman		R		zmarł w obozie
282	Saczkowski Aleksander	1912	P		
283	Sadowski Eryk	1930	P		
284	Sadowski Waldemar Mieczysław	1920	P		
285	Sala Dionizy		P		
286	Samuta Jan	30.12.1922	P		zmarł w obozie
287	Sawalina Benedykt	3.03.1906	P		zmarł w obozie
288	Sawan Sierioża		R		
289	Sawczenko Anton	23.03.1892	R		zmarł w obozie
290	Sendek Ludwik	1920	P		zmarł w obozie
291	Sidorczuk Aleksiej	1920	R		
292	Sikorski Kazimierz		P		
293	Siurda Ryszard		P		
294	Skaliński Tadeusz	23.11.1910	P	86759	
295	Skoczny Stefan		P		
296	Skoczylas Stefan		P		
297	Skonecki Czesław		P		

1	2	3	4	5	6
298	Skrobot Józef	2.01.1925	P	17764	
299	Skubiński Anastazy	10.03.1903	P		zmarł w obozie
300	Słupek Jerzy		P		
301	Smolarek Józef		P		
302	Sobczak Edward	5.11.1922	P	59799	
303	Sochaj Stanisław	23.09.1923	P	36064	
304	Sokołowski Jan	1912	P		zmarł w obozie
305	Sowlaczko Aleksy	17.11.1895	R		
306	Sporek		P		
307	Stachurski Bronisław	4.08.1898	P	26077	
308	Stański Stefan	14.06.1908	P	34981	
309	Stelmach Egon		D		Lagerältester
310	Stępniak Walerian		P		
311	Storer Domenko		J		
312	Stökcinger Alois		D		
313	Strusiński Lech	3.12.1926	P	86732	
314	Stuba Feliks	18.10.1925	P	1522	zmarł w obozie
315	Stypa Paweł		P		
316	Syguda Witold		P	17...	
317	Szczepański Włodzimierz		P		
318	Sznajdrowicz Wojciech	7.11.1912	P	20840	
319	Szotowski Ryszard	12.02.1922	P	2772	
320	Szpotakowski Eugeniusz	6.12.1888	P	16435	zmarł w obozie
321	Szymański Czesław		P	29242	
322	Szymański Jerzy	7.10.1900	P	11813	
323	Szymański Ryszard	14.10.1924	P	29244	
324	Śleszyński Włodzimierz		P		
325	Tabaka Bogumił		P		
326	Tondys Wacław	9.04.1920	P	867..	
327	Techech Paul		D		kapo
328	Tillo		F		
329	Tobolewski Leon	27.01.1903	P	59365	
330	Tomaniewski Stanisław	1.01.1914	P	29252	
331	Trębala Stanisław	14.01.1904	P	26962	
332	Trębaczkiewicz Roman		P		
333	Troskolański Adam Tadeusz	14.12.1901	P	40773	
334	Tschernizen Jochan		D	91568	zmarł w obozie

1	2	3	4	5	6
335	Turkowski Jan	1913	P	59443	zmarł w transporcie do Buchenwaldu
336	Turkowski Stanisław	18.04.1920	P	59442	
337	Tymiński Jan		P	2854	
338	Uchman Henryk	15.08.1913	P	59759	
339	Ukleja Roman		P	86756	
340	Ungerman Stanislav	7.04.1919	T		
341	Urbanek Józef	20.02.1920	P	15346	zmarł w obozie
342	Vagenknecht Vladimir		D		
343	Wajda Józef	16.03.1914	P	86704	
344	Wartelski Paweł		P		zmarł w obozie
345	Warzecha Stanisław		P		zmarł w obozie
346	Wasilkowskij Stiepan	10.02.1907	P		zmarł w obozie
347	Wawrzyńczyk Czesław	29.03.1907	P	338	
348	Wąsikiewicz Ryszard	5.10.1912	P	59768	
349	Wichlarz Antoni		P	29281	
350	Wiener Bruno		D		
351	Więckowski Benedykt		P		
352	Wikczak Stanisław	3.04.1911	P		zmarł w obozie
353	Wilczek Stanisław	20.03.1907	P	85091	zmarł w obozie
354	Wiśniewski Jan	11.06.1911	P		zmarł w obozie
355	Wiśniewski Kazimierz	9.02.1922	P		
356	Wojda Józef	16.03.1914	P	86704	
357	Wojnar Andrzej	23.09.1921	P	23169	
358	Wojnowski Karol		P		
359	Wojtowicz Józef		P	59...	
360	Wolanowski Henryk	29.01.1925	P	86749	
361	Wonsiwka		P		zmarł w obozie
362	Wronka Jan		P		zmarł w obozie
363	Wróblewski Jerzy	1.04.1918	P	59633	
364	Wyszyński Bolesław	18.10.1908	P	59559	
365	Wyszyński Władysław	12.04.1904	P	59...	zmarł w obozie
366	Wywerka Prokurat Adam		P	59267	
367	Zacharian Georgeo		R		
368	Zawadzki Edmund	12.01.1896	P	26191	
369	Zdrojewski Ryszard	1.04.1912	P	17375	
370	Zelma Nikodem		P		zmarł w obozie

1	2	3	4	5	6
371	Zych Piotr Eugeniusz		P		
372	Żak Jan		P		
373	Żarnowski Leon Piotr		P		
374	Żydek Teofil		P		
375	Żyto Franciszek		P		zmarł w obozie
376	Karasik		P		
377	Rabarkiewicz Bronisław	3.02.1898	P		zmarł 26.11.44
378	Slesiński Zbigniew		P		
379	Wyszyński Stefan		P		
380	Zborowski Andrzej	3.11.1898	P	59305	
381	Górka		P		zmarł w obozie

Nr archiwum Gross-Rosen 3.9.1.1.

DSP zam. 2405/K/85. Nakł. 1000 egz. N.70.